Nr. 33. Warszawa, dnia 2 (14) Sierpnia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PROJEKTY P. BADENIEGO.

Prezes ministrów przedlitawskich użył wypoczynku swego w Busku na opracowanie projektów pokoju między narodowościami walczącemi ze sobą w Czechach. Dzienniki wiedeńskie ogłosiły już te zamysły ministra, ujęte w literę. Odczytanie ich sprawia wrażenie, że p. Badeni wchodzi na drogę, jaką osiem lat temu kroczyć zaczął jego poprzednik Taaffe, gdy mu stosunki czesko-niemieckie za wiele już sadła za skórę zalały. Nie administracyjne, pojedynczych tylko stron życia publicznego dotykające rozporządzenia, ale prawodawcze, trwałe uspokojenie wzburzonych narodowości na całym obszarze ogarniętym przez wojnę wytknął sobie kierownik polityki przedlitawskiej jako cel, i dla celu tego ułożył pięć projektów, których przedmiot i treść następnie wyłuszczyć się dają:

1) Prawo o podziale sejmu na dwie zasadnicze kurye: czeską i niemiecką. Każda z nich wybierać będzie osobno przedstawicieli swoich do wydziału krajowego, do komisyj sejmowych, do naczelnych instytucyj autonomicznych, mianowicie do rady szkolnej, do rady gospodarczej, ekonomicznej, przeważnie nad rolnictwem czuwającej, w prawie austryackiem noszącej nazwę „Landesculturrath,“ i do banku krajowego.

2) Reforma prawa wyborczego, mająca zmienić skład sejmu krajowego sprawiedliwie dla miast, a korzystnie dla Czechów. P. Badeni proponuje dodanie 15 posłów miejskich. Nadto wielka własność fidei - komisarna, ordynacka, ma być podzieloną na kurye, również według zasady narodowości, wcielonej w zasadę terytoryalną.

3) Prawo o szkołach, utrzymując w radzie szkolnej podział na kurye narodowe, nadaje ogólnemu zebraniu, *respective* jego delegacyi, możność zakładania szkół dla mniejszości w okręgach mieszanych, na koszt całego kraju.

4) Prawo przepisujące władzom autonomicznym język obowiązkowy, zastosowany do narodowości gminy i hetmaństwa (powiatu). W okręgach i gminach mieszanych oba języki obowiązują władzę w stosunkach z obywatelami. Mieszaną nazywa się gmina wtedy, gdy mniejszość mieszkańców pod względem narodowości dochodzi do $\frac{1}{5}$-ej.

5. Wytworzenie władz obwodowych, któreby pośredniczyły między hetmaństwami a namiestnictwom.

Neue freie Presse, która po rozporządzeniach o języku głównie dmuchała na ogień i w zaciekłości swojej dostała zupełnej histeryi, wygadując niestworzone brednie, teraz, po tych nowych projektach rządu przedlitawskiego, wyraża swe zadowolenie i dopomina się tylko odwołania z góry rozporządzeń kwietniowych: oczywiście, jedynie dla postawienia na swojem. Niewiadomo jeszcze, co mówią Czesi, ale dodanie im [illegible] mandatów, przy utrzymaniu nietykalności dzisiejszych okręgów czeskich, i uznaniu praw mniejszości do szkół własnych — nie powinnoby ich źle usposobić. Stosunek obu narodowości do nowych projektów, ustosunkowanie się ich wzajemne do siebie okaże się przedewszystkiem w dobrej woli i skwapliwości do wybrania mężów zaufania, którzy mają się bezzwłocznie zebrać na wspólne narady nad nowemi pomysłami p. Badeniego. Dalszych dowodów dostarczy zachowanie się wybranych podczas samych narad. Niezerwanie ich przy pierwszych trzech projektach da rękojmię utrzymania się zgody i przy dwóch pozostałych. Owoc prac przyszłej konferencyi, złożony z uznania tego, z czem rząd sam występuje i z żądania tego, coby obie narodowości mieć jeszcze pragnęły, we wrześniu złoży p. Badeni za pośrednictwem namiestnika, hr. Coudenhove, na stole sejmu czeskiego.

Może się jeszcze wszystko skończyć wielką burzą, ale w tej chwili, po tych pięciu projektach, powiedzieć można, że się niebo czesko-niemieckie przecierać zaczyna. W porównaniu ze słynnym „Ausgleichem“ z r. 1890, uchwalonym pomiędzy Niemcami i Staro-Czechami, projekty p. Badeniego wyglądają skromniej, nie sięgają tak głęboko w ustrój narodowo-terytoryalny, nie wytwarzają nowych okręgów, nie dotykają wcale organizacyi sądownictwa; a wszystkie te względy przez życie samo nasuwane, przytłoczą z czasem rozum stanu nowemi zawichrzeniami, nowemi troskami, jeśli zawczasu zaspokojone nie będą. Zadanie jest bardzo trudne: przywiązanie praw narodowych do pewnych terytoryów pociąga za sobą podział kraju na czeski i niemiecki; ominąć zasadę terytoryalności można tylko przez narzucenie obowiązkowej znajomości obu języków tak Czechom, jak Niemcom. Taką myślą natchnione były rozporządzenia językowe p. Badeniego. Coby się to działo, gdyby teraz chciano w drodze prawodawczej nadawać obu narodowościom coś w rodzaju *uniwersytetu saskiego!* Zatem nie ma rady: trzeba już iść jedyną drogą, jaka zostaje, ale na tej drodze tyle jeszcze potworów i przepaści czyha na zgodę niemiecko-czeską, że prawdziwie lękać się o nią potrzeba, czy jej nie rozszarpią.

Tydzień polityczny. Cesarz niemiecki wraz z małżonką d. 7 b. m. zawinął do Kronsztadu. O obiedzie, tego samego dnia wydanym w Peterhofie, telegram urzędowy opiewa:

Petersburg, 8 sierpnia. Obiad galowy odbył się w dniu wczorajszym o godz. 8 wieczorem w wielkim pałacu peterhofskim. Przy Najwyższym stole zajęły miejsce Jej Cesarska Mość Najjaśniejsza Pani Ce-

sarzowa Rosyjska i Cesarzowa Niemiecka. Po prawej stronie Cesarzowej Niemieckiej siedział Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan, a na lewo od Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny Cesarz Niemiecki. Przy tymże samym stole zajęły miejsce Osoby należące do Rodziny Cesarskiej, damy dworskie i wyżsi dostojnicy rosyjscy i niemieccy. Przy obiedzie Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan zwrócił się do Cesarza Niemieckiego z następującą mową:

„Obecność Waszej Cesarskiej Mości i Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej i Królowej sprawia Mi bardzo wielkie zadowolenie i jest Mi niezmiernie przyjemnie wyrazić Moją szczerą wdzięczność. Jest to nowy dowód łączących Nas tradycyjnie związków i istniejących dobrych stosunków między Naszemi sąsiedniemi Państwami, a zarazem jest to drogocenną rękojmią utrzymania powszechnego pokoju, co jest przedmiotem nieustannych Naszych starań i najgorętszych pragnień. Piję za zdrowie Jego Cesarskiej Mości Cesarza i Króla Wilhelma, Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej i Królowej i całej Najdostojniejszej Rodziny!“

Na to cesarz Wilhelm odpowiedział:

„Jej Cesarska Mość Cesarzowa i ja, dziękujemy z całego serca Waszej Cesarskiej Mości za okazane nam serdeczne i wspaniałe przyjęcie, oraz za miłościwe słowa, jakiemi Wasza Cesarska Mość tak uprzejmie nas powitał. Jednocześnie chciałbym złożyć Waszej Cesarskiej Mości moją szczególną głęboką i radosną wdzięczność za nowe a tak niespodziewane dla mnie odznaczenie, jakie mi Wasza Cesarska Mość okazał przez zaliczenie mnie do list pełnej chwały floty Waszej Cesarskiej Mości. Nowy ten a szczególny zaszczyt ocenam według całego jego znaczenia i uważam go jednocześnie za szczególne odznaczenie mojej floty. W zamianowaniu mnie admirałem rosyjskim widzę nietylko zaszczyt, zrobiony mojej osobie, ale zarazem i nowy dowód naszych tradycyjnych i szczerych na niezachwianym gruncie opartych stosunków, tak naszych osobistych, jak i naszych państw. Niecofnione postanowienie Waszej Cesarskiej Mości utrzymania po dawnemu pokoju dla szczęścia ludu Waszej Cesarskiej Mości znajduje i we mnie najradośniejsze echo. Tym sposobem idąc jednemi i temiż samemi drogami, będziemy razem zmierzali do tego, ażebyśmy pod skrzydłem pokoju prowadzili nasze ludy do cywilizacyjnego rozwoju. Z zupełnem zaufaniem mogę dać znowu Waszej Cesarskiej Mości uroczyste zapewnienie, a temu, o tem wiem, współczuje wszystek mój lud, że w wielkiem dziele utrzymania dla ludów pokoju wszelkiemi siłami będę współdziałał Waszej Cesarskiej Mości i niósł najsilniejszą pomoc przeciwko każdemu, ktoby chciał mu przeszkodzić lub naruszyć go. Piję za zdrowie Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszego Pana i Najjaśniejszej Pani.“

Ostatnie zdanie cesarz niemiecki wypowiedział po rosyjsku.

Dnia 10 b. m. po południu cesarstwo niemieccy opuścili Peterhof i z Kronsztadu na yachcie niemieckim odpłynęli z powrotem na pruskie wybrzeża Bałtyku.

Prezes ministrów hiszpańskich, Canovas del Castillo, d. 8 b. m. w południe w Santa Agueda pod S. Sebastianem padł ofiarą zamachu skrytobójczego. Sprawca ujęty, nosił nazwiska Rinaldi, Golli, Gori. Tożsamości jego osoby ustalić jeszcze nie zdołano. Policya londyńska i paryska zwalają winę na hiszpańską, że mimo ostrzeżeń pozwoliła zamieszkać sprawcy w Santa-Agueda. W całej Hiszpanii ścigają teraz anarchistów; najwięcej ich w Barcelonie. Z Paryża wydalono już dwóch podejrzanych; stamtąd podobno wyszło postanowienie czynu. Pogłoski o pobudkach krzyżują się z sobą: dla jednych ma to być odwet za srogie katowanie socyalistów w Barcelonie, dla innych — środek nacisku, wywarty przez Kubańczyków. Liberalny Sagasta oświadczył, że nie widzi powodu do zmiany rządu, ale nowy rząd pomimo to ma się wytworzyć z koalicyi. Tymczasem prezesem gabinetu został minister wojny gen. Azcarraga — rządy wojskowe. Karliści zaczynają się podnosić z upadku.

Pokój turecko-grecki, który miał być już niezawodnie dwa tygodnie temu, teraz znowu „niezawodnie“ będzie za dwa tygodnie. Art. VI o opuszczeniu Tessalii sułtan wziął znowu do namysłu.

Ks. Bułgarski, który miał d. 14 b. m. ogłosić się królem, d. 9 b. m. ucałował w Stambule rękę sułtańską. Rozrzewniająca ta scena należy pewno do jednej z komedyj politycznych, odgrywanej potajemnie przez księcia.

P. Stoiłow w Koburgu do korespondenta *Localanzeigera* berlińskiego powiedział jeszcze w lipcu — powiedział i wyprzeć się już nie może — iż stosunki Bułgaryi z Austryą są naprężone z winy Austryi. P. Gołuchowski żąda zadośćuczynienia (dymisyi Stoiłowa), a w razie odmowy odwoła posła.

Królowa angielska d. 7 b. m. zamknęła parlament.

W Indyach nowe rozruchy, teraz już w stronie północno-zachodniej, około Peszauru.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ALKOHOL I ZBRODNIA.

Niedawno zebrano już pierwsze sprawozdania ze skutków wprowadzenia monopolu wódczanego. Przedewszystkiem spostrzeżono mniej awantur, burd, bijatyk i tak zwanych „krwawych zajść,“ które naszym pismom codziennym dają materyał do osobnej, stałej rubryki wypadków drobnych. Jest to objaw całkiem naturalny. Tam, gdzie wprowadzono monopol, znikły szynki, źródła nietylko zbrodni, popełnianych w uniesieniu, lecz i miejsca wszelkich knowań, układania wycieczek złodziejskich, napadów, planów zemsty, organizowania band itd. Kto zna lud wiejski i miejski, kto się przygląda jego warunkom bytu i życia codziennego, kto wreszcie czyta w pismach te smutne a tak częste wypadki nie gwoli samej tylko ciekawości, ten może dostatecznie ocenić, jak wielką klęską społeczną, wyrosłą na podściolisku szerszem, są szynki. Porastają one na drzewie społecznem jak mech, w którym się kryją drobnoustroje.

Dlatego też sprawozdania ze skutków monopolu cieszą nas, o ile są kasowane szynki, tj. nieszczęsne miejsca hodowli i wybujania złych instynktów ludzkich; ale nie napełnia to zbytnim optymizmem, bo usunięcie szynków i stworzenie towarzystw wstrzemięźliwości nie jest jeszcze usunięciem alkoholizmu. Zmieni on tylko swoją formę zewnętrzną, bijącą w oczy. Jest to, jak wiadomo, objaw ściśle zrośnięty z ogólnymi warunkami bytu, niedający się zniszczyć myciem, wyrówny-

14)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

XXIX.

Spowiedź.

Parowiec nasz przypomina teraz mieszaninę więzienia i klasztoru. Przez cały dzień trwają bez przerwy pienia kościelne.

Aresztanci przygotowują się do spowiedzi i poszczą.

Pierwszy raz na statkach Floty ochotniczej przygotowanie to i post urządzono dla aresztantów.

Tę próbę pierwszą uważać należy, zdaje się, za piękną.

Wywarła ona na skazańcach najlepsze, zbawienne wrażenie.

Aresztanci, z których wielu dręczy nieprzestrzeganie postu na parowcu, bardzo się ucieszyli, że mogą zachować post wielki. Przystąpili do tego szczerze, chętnie, jakoś radośnie—ale... Zresztą o tem „ale“ później.

* * *

Po wązkich krętych schodach zstępujemy na spód okrętu.

Nabożeństwo odbywa się w otworze pokładu na pomoście, ze wszystkich stron otoczonym kratami.

Nasz ksiądz okrętowy, bardzo dobry i sympatyczny, łagodny i potulny, bije pokłony o ziemię. Aresztanci tego nie czynią, gdyż między tapczanami ciasno, ale modlą się szczerze i gorąco.

Gdy podczas litanii wypowiadana jest prośba „o płynących podróżnych,“ morze głów za kratami porusza się silnie. Aresztanci kładą kilkakrotnie znak krzyża, szeroko, robią głębokie pokłony do pasa.

„Morze głów za kratami“ — rzekłem.

Rzecz dziwna! Oto już miesiąc co dzień to widzę; gorzej! — nic prócz tego nie widzę, a jednak nie mogę się przyzwyczaić do widoku człowieka za kratą.

Pomimo, iż staram się to sobie tłomaczyć, że inaczej być nie może, że to przecież są przestępcy, zabójcy — jakieś dziwne uczucie rośnie w duszy, uczucie protestu, wielkiej krzywdy, wyrządzonej „człowiekowi.“

Szczególnie teraz, podczas nabożeństwa ci ludzie za kratami. Wszyscy stoją, zasłonili światło, padające z iluminatorów; na spodzie okrętu półcień.

Dobrze widać tylko oświetlone przez otwór pokładowy twarze ludzi, stojących bliżej przy kratach. Szeregi tylne w półmroku. Zdala w końcu „oddziału“ stoją „Tatarzy,“ bojąc się naruszyć uroczystość nabożeństwa.

— Niech pan spojrzy, jaki młody! — szepnął stojący obok mnie pasażer — za coby on mógł...

— Proszę przestać!

Zrobiło mi się ciężko i gniewnie w duszy.

Jak im nie grzech, tym ludziom wolnym? Nawet w takich chwilach nie przestaną przez swą ciekawość patrzeć na tych „potępionych“ „jak na zwierzęta.“

Jakby dlatego, że już potępiony, powinien raz na zawsze być przedmiotem widowiska dla publiczności; i wtedy gdy się modli, i wtedy gdy mu wymierzają razy cielesne, gdy się całuje z matką, żegnając ją na zawsze...

Wszyscy zatopieni w modlitwie. Ani rozmów, ani szeptu, ani nawet szelestu. Tylko czasem z szeregów tylnych dochodzi ciche, przytłumione westchnienie.

Ludzie uczą się modlić w nieszczęściu.

* *

Aresztanci śpiewają i czytają.

Jeden trzyma świecę, drugi książkę, inni patrzą mu przez ramię i śpiewają z książki.

Na swobodzie możeby ci ludzie nie byli tak religijni. Widać, jak są nieobeznani z szczegółami obrzędku. Ksiądz ciągle podchodzi i robi wskazówki:

— To trzeba czytać, nie śpiewać.

— Śpiewajcie to!

Bez książki z trudnością śpiewają, nawet najprostsze modlitwy.

Nie mogę pochwycić nuty. Zaledwie dwu, trzech trzyma się wiernie motywu; reszta śpiewa różnie.

Naturalnie mówimy tu wogóle o śpiewie aresztanckim. Inaczej wygląda „chór śpiewaków,“ który pod kierunkiem specyalisty doszedł do wielkiej doskonałości i śpiewa prawie koncertowo.

Inni mało mają pojęcia o śpiewie, ale za to modlą się tu szczerze.

waniem i porządkowaniem samej tylko powierzchni życia.

Gdyby się znalazł jakiś cudotwórca, któryby potrafił znieść ze świata wszystkie browary, gorzelnie, fabryki win, spalić wszystkie olbrzymie zapasy alkoholu i zarazem stępić w ludziach popęd do „używek," byłby on prawdziwym odkupicielem ludzkości. Sądy w znacznej części zawiesiłyby swą czynność, dużo cel więziennych opustoszałoby, procent chorób śmiertelności zmalałby znacznie, ubyłoby wiele cierpień moralnych, materyalnych i fizycznych, zapanowałaby większa harmonia na świecie, podniósłby się ogólny poziom dobrobytu. Taki jednak cudotwórca nie przyjdzie, bo alkohol stał się potrzebą, środkiem podtrzymywania wyczerpanej nadmierną pracą energii fizycznej i duchowej, źródłem zapomnienia ciężkich trosk życiowych. Nie mamy atoli zamiaru w danej chwili traktować ogólnie o tem zjawisku doniosłem. Chodzi nam tu o jeden, niezmiernie ważny szczegół: zbrodnię, wybujałą na tle alkoholu i dotychczasowe środki jej zapobiegania.

W ostatnich czasach uderzyła nas nadzwyczajna ilość przestępstw, notowanych na szpaltach pism polskich i rosyjskich, szczególnie zbrodni, dokonanych zbiorowo przez kompanie, podniecone wódką. Gdzieś zamordowano w najokropniejszy sposób czarownika. Pijani jego dobrzy znajomi i może nawet przyjaciele, połamali mu żebra, wgnietli je w płuca, zgruchotali czaszkę, zmiażdżyli twarz, powybijali oczy. Każdy bił, czem tylko mógł, tratował nogami. Zrobiono to bez żadnego planu, bez tak zwanej premedytacyi. Gdy cała ta gromada szła do szynku, nie przypuszczała może nawet, że nosi w sobie tak silnie rozwinięte instynkty zbrodnicze; nie wiedziała, że wybuchną one tak gwałtownie i zamienią się w okrucieństwo dzikie. Cała ta gromada dała typowy obraz psychologii zbiorowej, każdy jej członek stał się cząstką potwora wielogłowego, pojedynczo zaś możeby się nie odważył swojej ofierze nickrwawego policzka wymierzyć.

W ostatnich czasach podobne ohydne i wstrząsające do głębi wypadki zdarzyły się w wielu miejscowościach; pamiętamy ich mnóstwo i z dawnych czasów. Jakież są środki okiełznywania tych strasznych instynktów zbrodniczych? Wymierzanie sprawiedliwości przez sąd i prawo. Otóż ten szczegół głównie nas zastanawia w danej chwili. Zbrodniarze, badani przez sędziów śledczych, a następnie odpowiadający przed kratkami sądowemi, zawsze mają jeden sposób tłomaczenia się: Kto bił? - Wszyscy. — Jaka była przyczyna, czem, kiedy i gdzie biliście? — Nie pamiętamy! Nic nie wiemy! W ten sam sposób tłomaczą się zbrodniarze pojedynczy, działający pod wpływem alkoholu: Byłem pijany, nic wiem i nie pamiętam, com robił. Tak się bronią właśnie uczestnicy „krwawych zajść," zjawiska codziennego w Warszawie, Łodzi i innych wielkich środowiskach życia. Działają oni istotnie w uniesieniu, silnie podnieconem przez alkohol. Zajście, które na trzeźwo skończyłoby się może na połajance, pogróżce lub nawet wymówce, pod wpływem alkoholu kończy się krwawą zbrodnią.

Wielkim tu sprzymierzeńcem ohydnych instynktów jest ciemnota i nędza, wytwarzające szorstkość, zgrubiałość charakterów. Usunąć tego jednem rozporządzeniem lub naciskiem nie można. Wymaga to długich, mozolnych reform, zarządzeń i udoskonaleń społecznych. Tem więcej niezbędne są silne, doraźne środki okiełznywania popędów do zbrodni. Powyższy sposób tłomaczenia się przestępców jest znamienny, wynikający z ducha prawa: „Nie pamiętam! Byłem pijany! Nie miałem zamiaru popełniać morderstwa." A szafarz przepisów prawnych, rzucanych w życie, zgodnie z ich duchem, upatruje „okoliczności łagodzące," zalicza zbrodnię do kategoryi przestępstw, popełnionych „w uniesieniu," bez „premedytacyi." Na tej podstawie zbrodniarz bywa albo zupełnie uniewinniany, albo skazywany na karę lekką: więzienie paromiesięczne. I oto po odbyciu tej kary znowu staje się członkiem społeczeństwa, korzysta z praw obywatelskich, a gdy podniecony alkoholem, poczuje w sobie znowu wezbranie instynktów dzikich, nie postara się ich powstrzymać, lecz pozwoli na wybuch, bo pomimo odurzenia wódką, w jego świadomości wyraźnie tkwi jedno rozumowanie: „Nie skażą mię ani na śmierć, ani na katorgę, nie usuną na zawsze z mojej gromady, bo popełniam zbrodnię pod wpływem uniesienia i wódki."

Obecnie wchodzą na porządek dzienny różne reformy prawa, stosowanego przez sądy. Otóż dla dobra ogólnego byłoby wielce pożądane zreformowanie i tych artykułów, które przewidują „okoliczności łagodzące" w zbrodni, popełnianej pod wpływem uniesienia i alkoholu. Gdyby tego rodzaju przestępców karano surowiej, gdyby ich pozbawiano przywilejów obywatelstwa i usuwano na zawsze ze społeczeństwa, byłoby niewątpliwie mniej zbrodni, a ogół pozyskałby jeden ze skuteczniejszych doraźnych środków obrony



Aresztanci wogóle bardzo są religijni.

* * *

O godzinie 1-ej zaczęła się spowiedź.

Przed wieczorem duchowny powrócił ze spodu okrętu. Twarz jego nie wydała mi się znużoną. Raczej była wzruszoną.

Ile strasznych rzeczy musiał on wysłuchać w ciągu tych kilku godzin! Jakie „grzechy" skruchę wywoływały!

— No, i cóż, księże — zwrócił się do niego w żartobliwym tonie jeden z podróżnych — czy nikt nie przyznał się, że zamierza wyłamać kraty na spodzie okrętu?

Nawet i ten spokojny człowiek, który zapewne nigdy się nie gniewał i może nie umiał się gniewać, nawet i on wyraził w głosie swoim pewne niezadowolenie z „tych" wolnych ludzi, z ich traktowania aresztantów:

— Nie!

I dalej dorzucił tonem strofującym:

— Żałowali za grzechy, jak daj Boże każdemu. Wielu nawet ze łzami. Odchodzili i znowu wracali ze skruchą.

* * *

Spowiednik siedzi z pochyloną głową ku kracie. Z drugiej strony stoi grzesznik i spowiada się — godzinę, półtory.

Z twarzy widać, że po prostu dławią go niektóre słowa.

To blednie, to się rumieni.

Ciężko wydobywa dramaty z przeszłości i opowiada to, co ukrywał przed wszystkimi: przed sędziami śledczymi, prokuratorami, sądem; wszystko, o czem nawet wspomnienia odpędzał od siebie.

Twarz grzesznika pokryta bujnemi kroplami potu. Widocznie prosi spowiednika, ażeby zrobił przerwę, dał czas na zebranie myśli, wspomnień.

Odchodzi na bok, staje koło tapczanów; tymczasem spowiada się inny.

Stoi samotny i kto wie, czy cokolwiek widzi lub słyszy dokoła, cały zatopiony w sobie.

Czy jeszcze grzechy przypomina, czy też nabiera odwagi, ażeby opowiedzieć o sobie coś takiego, o czem nawet strach wspomnieć.

Na twarzy maluje się jakby wahanie, niezdecydowanie, odgłosy bólu duszy.

Inny skończył spowiedź.

— Idź! — popycha zamyślonego ktoś z aresztantów.

Drgnął, jakby zbudzony ze snu ciężkiego, obejrzał się dokoła z takim wyrazem, z jakim zapewne ogląda się człowiek, który zamierza życie sobie odebrać; z pewną stanowczością zbliża się do spowiednika, klęka i znowu coś szepce, przylgnąwszy twarzą do krat.

Co?

Nawet na twarzy duchownego, który wysłuchał tyle spowiedzi, strach przebiegł.

Jeszcze bliżej ku kratom pochylił głowę, kiwa nią, jakby ze smutkiem chciał powiedzieć:

— Tak... tak...

We wzroku jego tyle smutku i litości.

A przestępca, dławiąc się słowami, szybko szepce, jakby w obawie, żeby stanowczość jego nie opuściła, wstrzymując się od wypowiedzenia wszystkiego.

Spowiedź skończona.

Śród ciszy rozlegają się słowa:

— Odpuszczone są wszystkie grzechy...

Ksiądz błogosławi przestępcę przez kraty.

* * *

Oto te kraty stanowią „ale," o którem wspomniałem wyżej.

Nigdy one tak nie przeszkadzały, jak w chwili obecnej. Nigdy tak nie gnębiły ludzi.

Aresztanci byli radzi ze spowiedzi; ale kraty zatruwały im tę chwilę. Nawet jeden stanowczo odmówił spowiedzi przez nie.

— Czyżbym miał co jeszcze popełnić w takiej chwili? Trzymajcie mię, jak zwierzę w klatce, jeżeli na to zasłużyłem; ale teraz, w takiej chwili, przecież ja nie zwierzę, lecz człowiek. Przychodzę ze skruchą. Czyż zwierzę to robi?

— Ale przecież nie wolno!

— Boże! nawet z Tobą trzeba przez kraty rozmawiać!

Patrz, inni spowiadają się przez kraty.

— Inni zapewne mogą, ale je — nie.

— Dlaczego nie możesz?

— Grzech.

— Jakiż grzech?

— Taki grzech, jaki grzech bywa.

Nareszcie z trudnością wydobyto z niego odpowiedź logiczną:

— Grzech jest taki, że gniewa ta sama krata, że tkwi przed oczyma, wyzywa. A czyż można nawet przystępować do tego z duszą rozgniewaną?

* * *

Spowiedź przez kraty smutnie legła na duszy prawie wszystkich.

LISTY PETERSBURSKIE.

Sprawa wzmocnienia stanu szlacheckiego. — Darowizna długów i nauka bezpłatna. — Szkoły wyłącznie szlacheckie. — Projektodawcy, zapominający o godności stanu i potrzebach społecznych. — Wykłady niedzielne dla robotników. — Metody pedagogiczne i ich znaczenie moralno-społeczne — Uprzystępnienie wiedzy fachowej.

Jak wiadomo, sprawa szlachetczyzny zajęła dziś pierwszorzędne miejsce w szeregu kwestyj bytu społecznego. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na stronę materyalną—wielkie odłużenie majątków ziemskich, należących do szlachty, i na potrzebę jaknajspieszniejszego ratunku. Szczególnie ubolewano nad tem, że dobra te przechodzą w ręce nieszlacheckie i tym sposobem zmniejsza się siła i wpływ społeczno ekonomiczny „klasy przodującej.“ W tej mierze otrzymała ona już ulgi, udzielone za pośrednictwem Banku szlacheckiego. Rzecznicy jednak tego stanu nie chcą na tem poprzestać i nawet napomykają, że byłoby pożądane zupełnie darować szlachcie długi bankowe. Inni znowu doradzają urządzenie opieki nad majątkami zadłużonymi, z warunkiem unieruchomienia gruntów szlacheckich do pewnego stopnia, tj. na wzór przepisów, zastosowanych do włościan, wydania prawa, które nie pozwalałoby sprzedawać gruntów szlacheckich nieszlachcie. Jakież motywy podają ci śmiałkowie bez skrupułów, którzy na rzecz jednej liczebnie najmniejszej i dziś najmniej produkcyjnej klasy żądają tak wielkich ofiar od państwa? Oto powołują się na zasługi w przeszłości. Motyw ten jest wielce charakterystyczny; stwierdza on to mniemanie z epoki „przodownictwa,“ że dość mieć zasługi przodków, ażeby zdobyć sobie szacunek, poważanie i wogóle stanowisko moralne w społeczeństwie. Dość mieć te zasługi w papierach i tradycyi, ażeby być ciemnym, próżniakiem, pasorzytem społecznym. Dość mieć te zasługi, ażeby nie zasiąść na ławie oskarżonych za fałszerstwa, kradzieże, oszustwa itd.

Takie szczere przekonanie panowało powszechnie przed półwiekiem. Na szczęście życie i regulujące je prawo nie pozwoliły rozwinąć się tym szczególnym przywilejom. Szlachta wyzuta z roli, poszła szukać nietylko stanowisk zaszczytnych w dziedzinie militarnej i urzędniczej, poszła ona szukać chleba twardego, zajęła najskromniejsze urzędy w biurach, kantorach, na kolejach, we wszelkich przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych; nie pogardziła skromnemi posadami oficyalistów wiejskich, a nawet chwyciła się rzemiosł. I oto taka zmiana warunków społecznych kazała zapomnieć o zasługach przodków, lecz własną uczciwością, własnemi zdolnościami i pracą — zdobywać uznanie w społeczeństwie. Szlachcica oszusta lub fałszerza nie starały się bronić ani sądy, ani opinia publiczna; był on takim samym przestępcą, jak i człowiek pochodzący z innego stanu.

Zdawało się, że już okres tych przesądów nigdy nie wróci, że nie zasługi przodków, lecz własna uczciwość i produkcyjność w życiu obywatelskiem będzie miała znaczenie. Gdy naraz w zaskorupiałem popielisku przeszłości, rozgrzebanem nadaniem jednego przywileju, zaczęły się rozgrzewać iskry dawnych pojęć i dziś, choćbyśmy wierzyć nie chcieli, czytamy na własne oczy w gazetach wnioski, żądające szczególnych przywilejów dla szlachty, ze względu na zasługi jej przodków. Ponieważ przodkowie ci odegrali ważną rolę, więc dziś ich pra-pra-wnukom trzeba dać emeryturę, trzeba uwolnić ich od pracy rzetelnej, znieść długi, czyli kupić na nowo majątki, stworzyć coś w rodzaju instytucyi dobroczynnej, wreszcie dać im naukę bezpłatną, oczywiście kosztem całej masy społeczeństwa produkcyjnego.

O pomocy materyalnej ktoś z inteligencyi petersburskiej tak się wyraził: „Będzie ona niesprawiedliwą, nieodpowiadającą celowi i nawet poniżającą, gdyż z pomocy tej skorzysta tylko część szlachty, i to nie większa i nie lepsza. Nieodpowiadającą celowi, gdyż pomoc pieniężna nie zmieni warunków ubóstwa i stworzy tylko ulgę chwilową. Poniżającą, gdyż szlachcie nie może nie wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze dla niego. Jeżeli zaś to poniżenie nie będzie dostrzeżone, tem gorzej, gdyż to ujawni brak godności jednostki i stanu.“

Ten sam jednak przedstawiciel inteligencyi uważa za rzecz godziwą nadanie szlachcie przywileju wychowania bezpłatnego i nazywa to pomocą nie materyalną, lecz moralną. Pobudką do tego ma być podźwignięcie z obecnej ciemnoty i bezwładności i postawienie stanu niegdyś przodującego na dawnem stanowisku. Projektodawca zaleca między innemi otwarcie korpusów kadeckich, gimnazyów z charakterem liceów o dwu wydziałach: rolnym i przyrodniczo-technologicznym. Godna tu uwagi jest jedna tylko myśl: dania szlachcie oświaty fachowej. Dziś ona pod tym względem zajmuje szczebel najniższy i to właśnie jest jednym z ważnych czynników jej upadku materyalnego. Ale robienie z tego jakiejś wyłączności, oddzielanie zakładów specyalnych szlacheckich murem chińskim od innych stanów po to, ażeby ci wychowańcy najmniej mieli pojęcia o ogólnych potrzebach społeczeństwa, jest to pomysł wprost niedorzeczny. Przywilej zaś bezpłatności w takich zakładach byłby również dobroczynnym, poniżającym, jak darowizna długów bankowych. Znaczenie korpusów kadeckich rozumiemy; ale co za cel miałyby wydziały technologiczno - przyrodnicze? Technolog - przyrodnik, jako pracownik w wielkich dobrach przy specyalizacyi pracy może mieć doniosłe znaczenie; ale technik-przyrodnik, właściciel tych dóbr, nieposiadający elementarnych podstaw rolnictwa naukowego, ekonomii społecznej itd., jakiż pożytek wyciągnie dla siebie z tej specyalności? Nie tworzenie szkół fachowych wyłącznie szlacheckich uprzywilejowanych, lecz pomnożenie tych szkół w różnych dzielnicach państwa i uprzystępnienie ich dla wszystkich stanów może przynieść istotny pożytek społeczeństwu.

Nie o cieplarniach umysłowych dla garstki szlachty, lecz o podniesieniu poziomu umysłowego mas dzisiaj przedewszystkiem myśleć należy. W sprawie tej dużo już wniosków wygłoszono na posiedzeniach różnych instytucyj i na szpaltach pism; dużo podań zrobiono do władz właściwych, a nawet to i owo uzyskano

---

— Ono tak jest! — filozofował jeden, leżąc na tapczanie.—Nawet przed Panem Bogiem miłosiernym nie jako człowiek, lecz jako aresztant! Za kratą.

— Zaczekaj nieco, przyjacielu! - uspokajał go włóczęga, sekciarz; — przyjdzie dzień i godzina, a zobaczysz. Nie będzie ani krat, ani warnaków, ani żołdaków, nic! Wszyscy jak jeden lud. Ani uczciwych, ani katorżników, lecz poprostu „istota.“ Złodziej, co od chłodu jak źdźbło — marznie, od upału ginie, gdy rodzi się — piszczy, gdy żyje — stęka, od każdej bagateli umiera. Wszystko jak jeden! Dlatego i nazywa się „istota.“ Otóż każdemu będzie co trzeba.

XXX.

Komunia.

Na spodzie okrętu toczy się rozmowa:

— Może wypuszczać będą.

— Ciebie zupełnieby wypuścili.

— Czyż i komunię świętą przyjmować będziemy przez kraty?

— O, Boże!..

Na morzu cisza martwa. Ocean jak tafla szklana, nie kołysze się, tak że można odprawić nie mszę, ale formalną liturgię z poświęceniem darów.

W otworze pokładu na pomoście ustawiono cerkiew obozową i namiot, zszyty z flag sygnałowych.

Przy ogromnych środkach Floty ochotniczej takie ubogie, nędzne urządzenie cerkwi okrętowej robi przykre wrażenie. Możnaby urządzić coś lepszego.

Ale aresztanci i tutaj znajdują strony dobre.

Wrót cesarskich, naturalnie, niema, tak, iż całe nabożeństwo odprawia się przy ołtarzu otwartym.

— Zupełnie jak na Wielkanoc — mówi jakiś parobczak.

Śpiewać będą śpiewacy z oddziału drugiego, i to śpiewać „koncertowo.“

Dyaka przyprowadzono z oddziału pierwszego, i to nie zrobionego z ochotników-aresztantów, lecz rzeczywistego „przyrodzonego psałterzystę,“ jak tytułował siebie w podaniu, gdy ofiarowywał gotowość pełnienia obowiązków dyaka.

„Przyrodzony psałterzysta,“ mężczyzna 40-letni; sprowadziła go tutaj „pokusa.“

„Pokusił się“ zarżnąć kogoś w celach rabunku i idzie teraz na trzynaście i pół lat katorgi.

Chudy, długi jak tyka, z rzadką koźlą bródką, z twarzą wiecznie ponurą, wydłużoną.

Na chwilę uroczystą ubrał się odpowiednio. Białe niciane pończochy kobiece, do kolan stara kapota z dużymi guzikami kościanymi, na szyi „szarfa“ z ręcznika.

Czyta „według wszelkich prawideł,“ to przeciągając słowa, to wymawiając je tak szybko, że zrozumieć nic nie można; a 40 razy „Boże zmiłuj się“ wymówił tak, że poprostu głowa się kręci od słuchania!

Mówi, jak dobry psałterzysta, na pamięć, z książką zamkniętą. Ma ją przez cały czas otwartą, a gdy trzeba czytać, zamyka.

— „Prawidło.“

Przez cały czas, dopóki się wyspowiadało 200 ludzi, żal było na niego patrzeć.

Męczennik!

I brwiami, i rękami dawał jakieś znaki naszemu stolarzowi okrętowemu, który mu pomagał w służbie.

— Ależ nie tak, nie tak!

A ten nie zwracając najmniejszej uwagi, czerpał kubkiem „ciepłotę“ — wodę ledwie zabarwioną winem czerwonem, i wydzielał kawałeczki chleba białego zamiast prosfory.

Zdawało się wszystko szło jak należy; ale „psałterzysta przyrodzony“ męczył się.

Coś się robiło nie „według prawideł.“

Ale za to trzeba było widzieć, jaki tryumf, jakie szczęście rozlewało się na jego twarzy, gdy ktoś z podróżnych wsunął mu pokryjomu w dłoń pół rubla. Jak on przyjął datek, jak nieznacznie włożył go do kieszeni.

Nie pół rubla drogie. Przeszłość mu przypomniała ta moneta, wsunięta w odpowiedź na słowa:

— „Z przyjęciem Sakramentu Przenajświętszego.“

„Prawidło,“ „porządek“ — zachowane. Oto, co jest drogie!

I zdaje mi się, że gdyby każdy dał mu chociaż po kopiejce, onby umarł ze szczęścia.

* *

(C. d. n.).

i postanowiono przedsięwziąć jakieś kroki w życiu. Przy Towarzystwie technicznem w Moskwie istnieje stała komisya w sprawie wykształcenia technicznego. Przed kilku miesiącami p. Tołupow odczytał tam ciekawy referat o wykładach niedzielnych dla robotników. Praca ta, wydana niedawno w osobnej broszurze, zasługuje na uwagę; daje bowiem obraz organizacyi. Odczyty niedzielne dla robotników powstały w Rosyi niedawno, istnieją dopiero od r. 1893 przy jednym tylko zakładzie przemysłowym, dzięki zabiegom skromnego pracownika. Zrazu wykłady te cieszyły się różnem powodzeniem; powoli wahanie zaczęło ustawać i stopniowo dał się zauważyć stały wzrost słuchaczów. W ciągu pierwszych dwu lat było ich 200—350 na każdej prelekcyi; w przeszłym zaś roku liczba ich dosięgła stosunkowo pokaźnej cyfry 9,116, czyli po 506 na każdym wykładzie. Bywały wypadki, że jednorazowo w audytoryum zbierało się przeszło 1,000 osób. Najciekawszy jest wykaz tematów i zachowanie się słuchaczów stosownie do treści. Otóż wykłady z zakresu historyi mają największe powodzenie, robotnicy słuchają z uwagą. Beletrystyka, szczególnie nieodpowiednio zastosowana do umysłów, nie ma wielkiego uznania. „Dobre to jest i śmieszne; ale cóż mamy słuchać bzdurstw? Przydałoby się coś poważniejszego—mówią słuchacze po wyjściu z audytoryum. Najbardziej są niepożądane takie rzeczy, które w scenach życia i w swoim świecie moralnym obrażają uczucia słuchaczów i wywołują przykre wspomnienia z rzeczywistości. Kiedy np. w roku bieżącym czytano Turgeniowa „Śpiewaków," audytoryum zachowało się zrazu spokojnie, ale wogóle znać było na twarzach pewne zdziwienie; następnie po dwu czy trzech stronicach więcej niż połowa słuchaczów z hałasem i niezadowoleniem opuściła salę. Za nimi powoli inni zaczęli się wysuwać, tak że pod koniec została niewielka garstka. „Szynk nam i tak już dokuczył, a tu o nim jeszcze czytają"— dały się słyszeć uwagi w tłumie ludzi wychodzących. Również miały niepowodzenie opisy przyrody zbyt długie, mało urozmaicone obrazami niknącymi. Wogóle odczyty z charakterem opisowym słuchane są obojętnie, a często nawet słuchacze wychodzą podczas czytania; gdy natomiast treść pełna dramatyzmu, ruchu, życia, zawsze ma licznych i szczerych zwolenników.

Wskazówki te mogą mieć ważne znaczenie dla przyszłych szerszych organizacyj wykładów tego rodzaju. Z tych kilku szczegółów widzimy, jak trzeba ostrożnie i umiejętnie dobierać treść i formę prelekcyj. Trzeba poznać nastrój, upodobania i stopień rozwoju umysłowego słuchaczów, podsuwać im sprawę odpowiednią powoli, umiejętnie. Oczywiście z początku muszą to być rzeczy dorywcze, stopniowo zaś trzeba byłoby je ująć w jakiś system, równomiernie i zarazem wszechstronnie rozwijający ciemny umysł robotnika. Znacznem ułatwieniem byłyby tu wskazówki z urządzeń zagranicznych; ale przeważnie liczyć można na doświadczenie samodzielne, na umiejętne zbadanie umysłów, temperamentów, upodobań i zwyczajów ludu robotniczego. Jest to osobny dział pedagogii bodaj najtrudniejszy, nad którym pracować muszą zbiorowo ludzie doświadczeni, światli, w dwu kierunkach: teoretycznym, polegającym na układaniu całokształtu oświaty w tej formie, systemów, programów szczegółowych, wreszcie sposobów, że tak powiemy, preparowania i podawania umysłom ciemnym wiedzy, zjawisk życia i innej strawy moralno-umysłowej. Drugi kierunek powinien być całkowicie doświadczalny, który dostarczałby obfitego materyału obserwacyjnego dziedzinie teoretycznej. Należy oczywiście zadanie to powierzyć nie lektorom zwyczajnym, którzy odgrywają rolę maszyn mówiących, lecz mówcom-psychologom, bystrym znawcom umysłów ciemnych, którzy potrafiliby nietylko swym darem wymowy i przedmiotem wybranym przykuć uwagę słuchaczów, lecz nadto w lot chwytać ich upodobania i oceniać potrzeby tych umysłów dorosłych z cechami niemowlęcemi.

Dotychczas wykłady powyżej opisane odbywały się jednocześnie dla dorosłych i dla dzieci, prawdopodobnie na tej zasadzie, że umysł ciemny zbliżony jest do dziecięcego. Otóż tutaj należałoby ściśle przestrzegać podziału co do wieku, bo jakkolwiek przedmioty wykładane mogą być zupełnie nowe i dla dorosłych i dla dzieci, jednakże natura tych obu kategoryj umysłów, spokrewnionych ciemnotą, różni się znacznie. Sprzęganie zaś ich węzłami koleżeńskimi szkodę wzajemną przynieść może.

Co do strony materyalnej, odczyty powyżej opisane pochłonęły bardzo skromne sumy. W ostatni roku sprawozdawczym abonament obrazów, ilustrujących wykłady, kosztował 70 rs.; osoba, wymieniająca obrazy — 60 rs., stróże — 30 rs., razem 160. Nadto przy organizacyi wykładów wydano 50 rs. na latarnię, ekran i katedrę. Na taki wydatek chyba najoszczędniejsza fabryka pozwolić sobie może. Koszt atoli musiałby się znacznie zwiększyć, gdyby te wykłady rozszerzono i usystematyzowano w sposób, jaki powyżej wykazaliśmy. Największy kłopot byłby z doborem prelegentów zdolnych, pełniących swe obowiązki honorowo.

Zaznaczyć w końcu musimy, że na wykłady publiczne dla warstw robotniczych w formie powyższej sfery ministeryalne zapatrują się bardzo przychylnie i chętnieby poparły inicyatywę prywatną. Oczywiście ta jedna forma oświecenia nie może być wystarczającą. W sferach ministeryalnych poruszano również kilka razy sprawę uprzystępniania nauki różnemi drogami warstwom pracującym. Między innemi doniosłe ma znaczenie społeczno-ekonomiczne popularyzowanie w formie systematycznej bezpłatnie lub za skromną opłatą wiedzy fachowej, któraby dałaby robotnikowi możność zyskowniejszego zużytkowywania sił. I pod tym względem zagranica może już sporo dać wskazówek, opartych na praktyce.

Paweł Krzyżanowski.

ŁISTY Z PARYŻA.

Projektowane przez p. Laurent przekopanie kanału między Wisłą i Dniestrem. — Francuzi o Mickiewiczu.

Feliks Laurent, inżenier w Paryżu, ogłosił w *Revue de géographie* z lipca 1897 r. projekt przekopania kanału między Wisłą i Dniestrem, czyli połączenia bezpośredniego Bałtyku z morzem Czarnem. Projekt ów, bezwarunkowo ciekawy, podaję w streszczeniu.

Nakreśliwszy obraz orograficzny Galicyi, potem opisawszy stan jej rzek, p. Laurent zwraca uwagę na niewielką odległość Dniestru i Wisły. Zmniejsza ją jeszcze San, wytryskający ledwie o kilka kilometrów od Dniestru. Ale w pewnem miejscu schodzi ona prawie do zera. Oto potok Wisznia wpadający do Sanu wypływa tak blizko Dniestru i znajduje się w takim stosunku do tej rzeki, że w czasie tajenia śniegów, a nawet po ulewnym deszczu wody jego wlewają się częścią do Sanu, częścią do Dniestru.

Z tego wynikają dwa główne fakty:

1) że łatwo jest połączyć Dniestr z Wisłą, uciekając się do pośrednictwa Sanu;

2) że podobne połączenie umożliwia komunikacyę bezpośrednią między Gdańskiem i Odesą.

Istotnie, podłużny profil, zdjęty z terenu w kierunku osi projektowanego kanału, idący od ujścia Wiszni do Sanu między wsiami Grabowice i Michałówka, a kończący się na lewym brzegu Dniestru między wsiami Czajkowice i Dołobów, przekonywa nas o łatwości owego połączenia. Różnica dwóch poziomów wynosi 80 m. 71 cm., żadnej poważnej przeszkody materyalnej. Przekop głęboki na 5 metrów, długi na 8,598, przecinając próg istniejący między łożyskiem Wiszni i Dniestru, umożliwiłby w zupełności przelanie wód górnego Dniestru do Wisły za pośrednictwem Wiszni i Sanu.

Przekop ów można otworzyć dostatecznie, aby zrobić górną szluzę (bief) kanału. Dwadzieścia sześć innych szluz wystarczy do wyrównania poziomów Dniestru i Sanu.

Kanał ten daje się przeprowadzić w warunkach tak łatwych, nawet tak wyjątkowo łatwych, że trudno sobie wyjaśnić, jakim sposobem nie dokonano dotąd przedsięwzięcia, którego zasada jest bardzo prosta, a przypuszczalne rezultaty uderzające swą wielkością.

Projektowany kanał pozwoliłby dostawiać zboże Rumunii, Besarabii, Podola, Galicyi, gdzie uprawa jego dokonywa się na wielką skalę, na rynki Szlązka, Czech, Morawii i całych północnych Niemiec, gdzie urodzaj często chybia.

Liczne stada wołów rumuńskich, bułgarskich i besarabskich, których wywóz roczny sięga stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy sztuk i które, zarówno jak nierogaciznę, zakupują Niemcy i Astrya, niewątpliwie mogłyby być przeprawiane wodą. Przewóz koleją jest bardzo kosztowny: wagon z dziesięciu wołami kosztuje z Czerniowiec do Krakowa (608 kilometrów) 250 franków, z Czerniowiec do Warszawy (938 kilom.) 500 franków.

Cała południowa Rosya i Rumunia kupuje węgiel w Anglii, bo przywiezienie ze Szlązka i z Galicyi kosztuje niesłychanie drogo. Wagon, mieszczący dziesięć ton węgla, kosztuje z Odenberga do Odesy (958 kilom.) 391 franków 45 c.; tę samą ilość przewozi się z Anglii morzem (7,000 kilometrów) za 200—250 franków!

Len, konopie, olej, skóry i futra, jarzyny, owoce, wszystkiego tego posiada pod dostatkiem dolina dolnego Dniestru, a statystyka kolejowa tej części Europy dowodzi, jak wiele owych artykułów wywozi się mimo kosztów na północ.

Dopływami Dniestru: Świecą, Łomnicą, Bystrzycą i dopływami Wisły: Sanem, Dunajcem, Wisłoką, płynącymi przez okolice prawie wyłącznie leśne, można spławić do projektowanej arteryi budulec i drzewo na opał, łatwo do zbycia i tak pożądane na wielkich rynkach Odesy, Warszawy i Gdańska.

Kopalnie węgla w okolicach Kołomyi nad Prutem, w Sandeckiem na lewym brzegu Dunajca, jako też w kilku innych miejscach Galicyi, również i źródła nafty tak liczne na północnym stoku Karpat, będzie można o wiele pomyślniej eksploatować, co daje poważne widoki handlu wywozowego.

W pobliżu Dniestru znajdują się kamieniołomy czartoryskie i trembowelskie, niedaleko leżą Siemakowce z podobnymi pokładami. Kamienie stąd dobywane dają się obrabiać z wielką łatwością na płyty bardzo płaskie, albo w prawidłowe sześciany, wytrzymujące wszelkie niepogody, jak tego dowodzą budowane z nich gmachy pamiątkowe Lwowa, trwające od kilku wieków; otrzymują też szybko połysk marmurowy.

Projektowana droga wodna umożliwia przewóz wszystkich tych wytworów, albo surowców bądź na północ do Warszawy

i Gdańska, bądź na południe do Odesy. Przewóz tak łatwy i tak tani, że ogromne pola zbytu mogą być dla nich uzyskane tam, gdzie ceny kolejowe zbyt wygórowane nie pozwalają im dotrzeć.

Skutki ulepszeń łożyska Dniestru galicyjskiego, datujące się od roku 1879, popierają nasze dowodzenia. Wobec konkurencyi, jaką czyni żegluga na tej części rzeki, przewóz koleją zmniejszył się w sposób następujący:

W 1879 r. linia Lwów—Czerniowce przewiozła	609,349 ton	za 6,078,597 fr.
W 1882	425,659 „	„ 4,963,970 „
Różnica na korzyść drogi rzecznej	183,690 ton	za 1,114,627 fr.

Skoro współzawodnictwo Dniestru niezupełnie jeszcze spławnego mogło tak oddziać, to niewątpliwie przewidywania nasze zostaną prześcignione, gdy dalsze prace umożebnią zastąpienie teraźniejszej nawigacyi dość miernej regularnym kursem statków parowych. Chociaż droga rzeczna ma jedno tylko ujście: ku morzu Czarnemu, odbiła jednak już kolejom 35% przewozu. Ruch ku Baltykowi będzie o tyle znaczniejszy, że Gdańsk leży tylko o 1,500 kilometrów od Londynu (odkąd przebito kanałem Szlezwik-Holsztyn), podczas gdy Odesa jest odległą od stolicy angielskiej o 7,500 kilometrów.

Zboże Podola i Galicyi dostanie się szybciej na Baltyk i to za połowę ceny przewozu do Odesy. Ta zaś wysyła co rok przeciętnie 3 miliony ton zboża do Anglii.

Jest to niewątpliwie rzeczą specyalisty roztrząsnąć pojedyncze szczegóły projektu, osobliwie kwestyę samej budowy kanału. Lecz że doniosłość tego przedsięwzięcia byłaby bardzo wielką, wydaje mi się pewnem. Czy wejdzie ono w czyn, czy rząd miejscowy przyłoży rękę do jego wykonania?

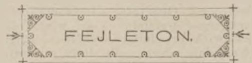
W każdym razie wypracowanie podobnego projektu przez inżeniera francuskiego mówi wiele. Kapitał francuski szuka w ostatnich latach coraz bardziej pola za granicami kraju. Nie wiem, jaki jest stosunek p. Laurenta do kapitalistów i czy czynił on jakie starania w sprawie projektowanego kanału, ale być może, że myśl jego nie zostanie rzuconą płonnie i że może wnet obcy dokonają u nas tego, o czem zapomina się w Galicyi śród swarów politycznych i w marzeniach o dostaniu się do Koła.

Dotknąwszy już tych wzmianek, chcę zaznaczyć kilka wiadomości o literaturze polskiej, właściwie o Mickiewiczu, w pismach francuskich. Nie są one liczne.

W ilustrowanem wydawnictwie Dayota: „1830 i 1848“ umieszczono obok Quineta i Micheleta, dwóch kolegów Adama, których wykłady równocześnie zamknięto, portret Mickiewicza (według Tony Tonillon). Objaśnienie krótkie: „Od sześciu miesięcy już przerwano wykłady Quineta i Mickiewicza, tych wielkich siewców idej. Nauka ich—mówi Daniel Stern w swojej wybitnej *Historyi rewolucyi z 1848*—nie miała prawidłowości programu akademickiego. Wyższy duch rozgrzewał ich słowa i nadawał im potęgę. Mickiewicz, poeta-prorok, szukał w początkach rasy słowiańskiej jej praw do wielkości; on podnosił przygnębionych nie wolą, pocieszał, uszlachetniał wygnanie... Językiem pełnym ognia, zawdzięczającym swą piękność podwójnemu geniuszowi mowy słowiańskiej i łacińskiej, głosił zagadkową wojnę krzyżową przeciw duchowi złego, zapowiadając wyswobodzenie ludzkości, wyrwanej wreszcie potęgom ciemności.

Pismo *Revue des Revues*, które najwięcej o polskiem piśmiennictwie mówi, umieściło artykuł Władysława Mickiewicza p. t. „Setna rocznica urodzenia Adama Mickiewicza.“ Właściwie artykuł ten o owej rocznicy bardzo mało traktuje, pewną wartość w nim jednak posiadają fotografie Tuhanowic i Zaosia, zdejmowane przez p. Kraszewskiego. Wyliczamy je: Zaosie, dworek, gdzie urodził się poeta, widok ogólny Zaosia, Wygoda, Świteź, góra Żarnowa, dom w Tuhanowicach, okno Maryli, świronek Adama w Zaosiu, Murowanka, gdzie mieszkał Mickiewicz, drobna szlachta litewska (rodzina Rawińskich z Mikulicz), dolina Kowieńska.

W. Bugiel.



PAMIĘTNIK.

Słownik Geograficzny.

Jak donoszą pisma, *Słownik Geograficzny* (który tylko uprzywilejowanym redakcyom był udzielany) dotarł do ostatniego zeszytu. Obejmuje on dziś kilkanaście tomów i stanowi własność Kasy Mianowskiego, której go zapisał zmarły wydawca i która ponosiła koszta dokończenia dzieła. O ile nam wiadomo, a prawdopodobnie dzięki owemu uprzywilejowanemu rozsyłaniu, pozostał niesprzedany ogromny zapas. O tem, ażeby *Słownik* dziś przy wysokiej cenie znalazł nabywców, trudno marzyć. Sądzimy więc, że byłoby to i z pożytkiem dla społeczeństwa i z korzyścią dla Kasy, gdyby ona zniżyła tę cenę do minimum. Po kilka rubli za egzemplarz — reszta nakładu rozejdzie się w ciągu tygodnia. Tym sposobem książka wydobędzie się ze składu, gdzie od lat wielu leży bezużytecznie, i rozpowszechni się w społeczeństwie, a Kasa odzyska uwięziony kapitał. I gdyby go nawet nie odzyskała w całości, to przecież jako instytucya filantropijna może i powinna ponieść taką ofiarę, zwłaszcza że ponosi wiele innych, daleko mniej owocnych. Jaki zaś wpływ ma taniość na rozkup książki, okazały wydane przez Kasę „Przysłowia“ Adalberga. Ponieważ naznaczono za nie 3 rs., zostały wkrótce rozchwytane; gdyby kosztowały według norm zwyczajnych 10—15, dotąd pomnożałyby już i tak zbyt wielkie składy wydawnictw Kasy. Trzeba więc pójść za tą wskazówką ze *Słownikiem*.

Organizacya pracy.

Czytelnicy nasi wiedzą, co to jest rosyjska *artel*, olbrzymie stowarzyszenie, albo raczej sieć stowarzyszeń, która ogarnia wszystkie pola pracy, wymagające sił zbiorowych. Artel buduje domy, koleje, kanały, prowadzi na wielką skalę handel, wynajmuje swych członków do biur, zawiaduje kasami. U nas np. wzięła budowę nowego szpitala Dzieciątka Jezus, zarządza kasami kolei Terespolskiej itd. Główną jej przewagą nad jednostkowemi i spółkowemi usługami jest to, że posiada wielkie kapitały i poręcza nimi, a w potrzebie pokrywa przyjęte zobowiązania. Otóż śród naszych młodych pracowników w przemyśle i handlu powstała myśl organizacyi podobnego stowarzyszenia z żywiołów miejscowych i podejmowania również rozmaitych przedsiębiorstw. Pomysłowi temu gorąco przyklasnąć należy i życzyć, ażeby on nietylko urzeczywistnił się, ale oparł swój byt i działalność na mocnych podstawach. Trzeba zebrać środki i trzeba dobrać takie jednostki, któreby nadawały stowarzyszeniu siłę i nie rozstrajały go nadużyciami lub niekarnością. Niestety, zbyt późno zaczęliśmy rozumieć konieczność i wartość skojarzeń społecznych i dotychczas woleliśmy zawsze postępować luzem. Ale może to uznanie ich pożytku, choć spóźnione, będzie dążnością trwałą.

Rozporządzenie.

Kancelarya do spraw kredytowych przy ministeryum skarbu rozesłała do Towarzystw kredytowych miejskich w Królestwie Polskiem zawiadomienie, że Najwyżej zatwierdzony został wniosek komitetu ministrów o obowiązkowem wprowadzeniu języka rosyjskiego do wszystkich czynności biurowych owych Towarzystw. Począwszy od d. 13 lipca 1900 r. czynności biurowe, rachunkowość, sprawozdania i bilanse wszystkich Towarzystw w Królestwie Polskiem mają być prowadzone w języku rosyjskim. Wyjątkowo do d. 13 lipca 1903 r. dozwolono na prowadzenie korespondencyi w języku polskim ze stowarzyszonymi i komisyami rachunkowemi. Z chwilą ogłoszenia tych przepisów osoby, wybierane i mianowane na urzędy w Tow. kred. miejskich, obowiązane będą władać gruntownie językiem rosyjskim i posiadać zupełną biegłość w prowadzeniu korespondencyi w tym języku. Ponieważ już dawniej rozporządzenie to wprowadzone zostało w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, obecnie więc językiem wszystkich instytucyj kredytowych u nas będzie rosyjski.

Kanalizacya na raty.

Co się niepodoba pewnym o „ubogich i maluczkich“ dbałym pismom naszej prasy!

Nie podoba im się tani chleb, tani cukier, wszystko, co nie jest smarowidłem tłustych polców.

Jedno z tych pism zmartwiło się wielce... kanalizacyą na raty. „Właściciele domów jeszcze nieskanalizowanych lub nowobudowanych — donosi ono ze smutkiem — są zasypywani mnóstwem ofert od mnóstwa firm technicznych, zajmujących się kanalizacyą domów prywatnych. Współzawodnictwo ich doprowadziło do tego, że bez grosza zadatku rozkładają one należność na raty pięcioletnie i dłuższe, nie mówiąc już o tem, że wszelkie kosztorysy i plany wykonywają darmo, a cenę roboty obniżają do minimum. Współzawodnictwo takie oczywiście musi doprowadzić do bankructwa niejedną firmę, zwłaszcza gdy uboższe z nich zmuszone są należność za dopełnione roboty odrazu zdyskontować na wysoki procent.“

Węzeł wcale nie gordyjski.

Kto nie ma pieniędzy, niech się nie puszcza na przedsiębiorstwa, na których może zbankrutować. Kto zaś ma pieniądze, niech je wynajmuje z umiarkowanym zyskiem dla siebie i z korzyścią dla innych.

Do kanalizacyi domów przystępują i muszą przystępować nietylko właściciele bogaci, lecz także biedacy, których posesye przedstawiają małą wartość lub są obciążone długami. Dla nich wydać odrazu parę tysięcy rubli na urządzenia kanalizacyjne jest niepodobieństwem, a często ruiną: czyż więc to nie naturalne i nie pożądane, że kapitał pod postacią tych robót wypożycza im się na rozpłaty? Niestety, i my wolelibyśmy, ażeby walka o byt toczyła się sposobem przyjacielskim i ażeby nikt z niej nie wynosił krzywdy, ale skoro nad życiem społeczeństw zapanowało takie niezłomne prawo, w którem wielki kapitał jak rekin pożera małe rybki i ten wielki oddaje się taniej, niż mało, ogół nie może dla nich poświęcać się, chociażby dlatego, że go nie stać na ofiary i ledwie może dźwigać brzemię konieczności.

Nareszcie.

Kiedy w roku zeszłym lekarz rosyjski, Denisenko, ogłosił w piśmie *Wracz* fakty uleczalności raka zapomocą działania glistnika, czyli ziela jaskółczego (*chelido-*

nium majus), pozwoliliśmy sobie na uwagę, że obecny kierunek medycyny zbyt ugrzązł w bakteryologii i pomija badania środków prostych (specyfików) oraz że prawdopodobnie glistnik nie będzie poddany próbom, gdyż myśl lekarzy szuka oparcie ratunku przeciw rakowi na drodze szczepień. Za tę uwagę otrzymaliśmy bardzo złą cenzurę: oświadczono nam w polemice, że kierunku badań medycznych należycie nie znamy i że skuteczność jaskółczego ziela będzie sumiennie wypróbowaną. Przyjąwszy z pokorą to napomnienie, postanowiliśmy cierpliwie czekać. Pomimo że chorych na raka nie brak, upływały miesiące, a o doświadczeniach z nowym środkiem nie było słychać. Aż oto nareszcie w ostatnim numerze *Medycyny* znaleźliśmy ciekawe doniesienie w tym przedmiocie dr. L. Pękosławskiego z Mohylewa Podolskiego. Miał on chorą z rakiem na nosie, której ów nowotwór wielokrotnie wycinano, wyskrobywano i wypalano z najgorszymi wynikami: bo rana zajmowała coraz większą przestrzeń i sprawiała chorej coraz straszniejsze cierpienia. „Zrozpaczony“ — jak sam powiada — dr. P., przeczytawszy we *Wraczu* opis rezultatów, otrzymanych przez p. Denisenkę, sprowadził glistnik z apteki w Moskwie i zaczął go stosować. A oto skutek: „na miejscu owrzodzenia blizna różowa, gwiazdowato pomarszczona, przyrośnięta do kości i ściągająca lewą dolną powiekę ku dołowi, koniec nosa ku lewej stronie, zaś skórę lewego policzka ku nosowi. Blizna gładka, niebolesna; bole, poprzednio tak okropne, zginęły.“

Nadajemy rozgłos temu wypadkowi i wogóle wtrącamy się w tę sprawę dlatego, że medycyna dotychczas przyznaje się do zupełnej bezsilności wobec raka, że zawiera on w sobie wyrok niechybnej śmierci, a pojawia się dość często. Sądzimy przeto, że dla dotkniętych tą straszną chorobą wszelka wiadomość o możliwości wyleczenia jej jest promieniem radosnej nadziei uratowania życia.

Kłopoty pogotowia.

Pogotowie ratunkowe ma nietylko dużo zajęcia, ale za dużo. Nietylko bowiem wzywane jest w wypadkach poważnych, wymagających rzeczywiście natychmiastowej pomocy, ale i w takich, które bez niej obejść się mogą. Chwilowe omdlenie, drobne skaleczenie, atak choroby chronicznej, albo utrata przytomności z pijaństwa — wszystko to daje powód do alarmu, skutkiem którego furgon pogotowia musi pędzić nieraz bardzo daleko i tracić czas ze szkodą innych wypadków, rzeczywiście zasługujących na jego przybycie. Dość powiedzieć, że do jednej epileptyczki sprowadzano go siedem razy. Przedewszystkiem tedy zarówno publiczność, jak straże bezpieczeństwa powinnyby w swoich wzywaniach badać staranniej ich potrzebę.

Drugim kłopotem, który dokucza młodej instytucyi, jest brak środków. Członków liczy ona dotąd niewielu, a ofiary płyną skąpo. Jakkolwiek obowiązek społeczny powinienby tu odezwać się szczerzej i mocniej, sądzimy jednak, że pogotowie ma zupełne prawo do zasiłku z olbrzymiego funduszu, który już się utworzył i wzrasta z podatku szpitalnego. Płaci go ludność uboższa, która za tę swoją daninę nie ma nawet zapewnionego miejsca w szpitalach, a ponieważ najczęściej korzystać będzie z pogotowia, niechże ono przynajmniej dostaje zapomogę z tego jej źródła.

Wreszcie ponieważ z usługi pogotowia korzysta również ludność zamożniejsza, nie powinna ona wyzyskiwać go, lecz wywdzięczać się ofiarą na rzecz instytucyi.

Jeśli tym powinnościom uczynimy zadość, pogotowie będzie miało mniej pracy a więcej środków, mniej będzie jeździć a lepiej spełniać swe właściwe zadania.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE PRACE O POCZĄTKACH SPOŁECZEŃSTWA.

W nauce o początkach i rozwoju urządzeń społecznych, jak zresztą we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej, zdania ścierają się, nowe fakty, dotychczas nieznane, doczekały się uwzględnienia lub rzucono nowe światło na dawne. Ostatnie lata zwłaszcza są świadkami dość energicznej wymiany poglądów. Książka Starckego o początkach rodziny dała silną pobudkę i zmusiła obrońców teoryi przeciwnej do skrupulatnego zbadania swoich założeń i wniosków.

W szeregu artykułów zamierzamy scharakteryzować nowe prądy, przedewszystkiem zaś uwzględnić ich stronę metodologiczną. Na razie poprzestaniemy tylko na literaturze niemieckiej—nie dlatego, ażebyśmy nie chcieli dotknąć wyników w innych krajach otrzymanych, ale ponieważ przeważnie w Niemczech daje się spostrzedz owa robota krytyczna.

I.

Co do dziejów rodziny, musimy zanotować dwie prace: prof. J. Kohlera i E. Grossego *).

Stoją one na wręcz przeciwnych biegunach. Kohler jest sumiennym i skrupulatnym uczonym, przyzwyczajonym do metodycznego postępowania. Książka jego nie otwiera nowych widnokręgów, lecz troskliwie przesiewa znane fakty i wnioski już wypowiedziane. Grosse odznacza się natomiast niepomierną lekkomyślnością. Nie prace źródłowe, uważnie ocenione, dostarczają mu materyału, lecz bez ceremonii czerpie go z rąk drugich, nieraz bardzo podejrzanych. Waitz-Gerland, Ratzel, Klemm są w ciągu całych stronic jedynymi dostarczycielami faktów. Metodyczności niema tam żadnej, książka Grossego barwnością swoją i nieścisłością przypomina raczej zbiór artykułów popularnych.

Kohler jest wyznawcą doktryny Morgana, do której prace jego o prawie australskiem oraz obecna są przyczynkami najpoważniejszymi z tych, jakie znam. Grosse jest przeciwnikiem schematu badacza zamorskiego. Przed kilku laty istniała moda wyszukiwania w każdym szczególe i symbolu przypadkowym śladow macierzyństwa i bezładu płciowego, przyczem niektóre prace, jak np. tłomaczona na język polski Giraud-Teulona, były raczej zbiorem anegdot, aniżeli oceną systematyczną faktów. Dzisiaj, pod wpływem książek Starckego i Westermarcka, bardzo niekrytycznego zbioru materyału surowego Curra oraz wspaniałej monografii braci Sarasinów o Ceylonie, zapanował prąd zgoła przeciwny — niedoceniania tego rodzaju szczątków, zaprzeczenia najoczywistszym dowodom i jednostronnego ich tłomaczenia w duchu prastarych teoryj. Grosse jest właśnie z liczby rzeczników tego nowego zwrotu. Cała rzecz w tem, że pomimo lekceważącego postępowania z faktami, włożył w książkę swoją coś istotnie oryginalnego i słusznego.

*) J. Kohler: *Zur Urgeschichte der Ehe.* Totemismus, Gruppenehe, Mutterrecht. Stuttgart.
Ernest Grosse: *Die Formen der Familie u. die Formen der Wirtschaft.* Freiburg i Lipsk.

Na przekór jednak całej różnicy istnieje pomiędzy obu wymienionymi autorami coś wspólnego — potępienie dotychczasowego, bezładnego gromadzenia faktów, jak to robi H. Spencer lub Letourneau, bez ceremonii wiążący objawy pozornie jednakowo, lecz w gruncie rzeczy będące wynikiem bardzo odmiennych przyczyn. Kohler podjął badanie szczepów, stanowiących każdy, dzięki warunkom bytu i poziomowi kultury swojej, pewną zamkniętą i skończoną całość, jak dzicy tubylcy N. Holandyi lub stojący na wyższym szczeblu uspołecznienia barbarzyńcy Ameryki Północnej. W każdym z tych przypadków ma on do czynienia z ludami tylko tej samej formacyi i jeśli u jednego plemienia pewien zwyczaj występuje w całej mocy swojej, u sąsiedniego pozostał tylko przeżytek symboliczny lub powstało nowe urządzenie, może on śmiało wnioskować o pochodzeniu jego i w dalszym ciągu o prawach rozwoju samej instytucyi. Wprowadzenie takiej metody stanowi niewątpliwie krok bardzo doniosły w postępie obchodzącej nas nauki, wyprowadzający ją ze stanu anegdotycznego, w którym dotychczas przebywała, na drogę ściślej metody naukowej. Grosse w inny sposób, choć w gruncie rzeczy tej samej zasadzie hołduje. Poszedł on za przykładem K. Hildebranda: układa fakty, dotyczące stosunków małżeńskich, rodzinnych i społecznych według schematu źródeł zarobkowania. „Rozmaite formy rodziny odpowiadają różnym sposobom zarobkowania i charakter każdej odrębnej jej organizacyi, w najistotniejszych rysach swoich, da się wyprowadzić z charakteru ówczesnych źródeł zarobkowania.“ Odpowiednio do tego, wyróżnia on pięć formacyj gospodarczych: niższe i wyższe myśliwstwo, pasterstwo, wreszcie wyższe i niższe rolnictwo. Teoretycznie staje on więc na tym samym gruncie, co Kohler, lecz w istocie rzeczy nie dokonał tego w sposób zadawalający. Nie uciekając w rachubę okoliczności pobocznych, zwrócimy uwagę tylko na to, że ludy, będące na tym samym szczeblu stosunków gospodarskich, nie zawsze posiadają po za sobą tę samą przeszłość dziejową, co nie mogło nie wywrzeć najdonioślejszych wpływów na istniejące tam urządzenia. Klasyfikacya Grossego, tak jak jej on dokonał, może zaspokoić jedynie tych, którzy znają przedmiot pobieżnie. Ale jeszcze raz zaznaczamy, że zasada jest słuszna i że od uwzględnienia zależy dalszy postęp nauki. Jest to jedynie owocny sposób postępowania, wobec którego właściwe Karolowi Letourneau układanie materyału faktycznego w sztuczne przegródki rasowe jest tylko zabawą, nie zaś posuwaniem wiedzy naprzód. Hildebrand, obecnie Grosse swojem postępowaniem świadczą, iż zasada ta rozpowszechnia się.

Książka Grossego nie traktuje dziejów rozwoju rodziny, tylko związek, istniejący pomiędzy tą zasadniczą instytucyą pożycia społecznego a źródłami zarobkowania. „Rozpocząłem studya do pracy niniejszej — pisze on w przedmowie — zamierzając dać historyę rodziny, skończyłem zaś ją przekonany, że ani ja, ani nikt inny nie zdoła w chwili obecnej napisać dziejów rozwoju tej instytucyi. Zanim ktoś odważy się zabrać do takiej roboty z widokami powodzenia, muszą istnieć zgoła inne prace przedwstępne, niż te, jakiemi rozporządzamy dzisiaj.“ Powściągliwość to może zanadto posunięta, ale poniekąd uzasadniona. Morgan dał genialny schemat, pociągnął ku sobie umysły jego prostotą, dostarczył klucza do zrozumienia przeszłości. Ale rzeczywistość jest i była daleko zawilsza, aniżeli to wypływa z wywodów badacza amerykańskiego. Na gruncie przezeń wyznaczonym trzeba takich robót, jak Kohlera, nieco zresztą lotniejszych, ażeby z czasem od-

budować przeszłość dokładnie. Grosse powziął słuszną myśl oparcia tej roboty na formacyach ekonomicznych. Odsuwa on na bok hypotetyczne formy pożycia małżeńskiego i rodzinnego i ogranicza się badaniem tylko tego, co rzeczywiście istnieje dzisiaj. Ale, zaznaczmy, wyklęta przeszłość istnieje ukryta i podsuwa mu wnioski, których nie pomija on wypowiedzieć przy sposobności. Uwydatnia się to zwłaszcza w traktowaniu ludów, będących w stanie niższego myśliwstwa. Nie dotknąwszy się materyału surowego, prócz tego, jaki znalazł u Curra, któremu zanadto zaufał, olśniony opisem Weddów przez braci Sarasinów, zapomniał, a może nawet nie wie, że po za stałem stadłem małżeńskiem, właściwem Australczykom, istnieją tam pewne akcesorya, dorywczo, ale często i systematyczne, użytkujące z powagi zwyczaju i tradycyi. Wyobraźmy sobie roztwór, z którego osadziła się gromada kryształów — Grosse bierze tylko to, co się już osadziło, zupełnie zaś nie uwzględnia, nawet zaprzecza istnieniu soli jeszcze rozpuszczonej.

Rozpatrzymy wątek zasadniczy jego wywodów.

Każda formacya życia gospodarczego i źródeł zarobkowania idzie w parze z właściwą sobie organizacyą stosunków małżeńskich, rodzimych oraz społecznych.

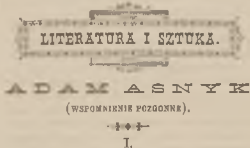
Dzisiejszy byt dziki, u takich Australczyków lub Buszmenów, opiera się na wyodrębnionem stadle małżeńskiem (oraz dodajmy, pewnych akcesoryów, których Grosse nie uwzględnił). Człowiek poszukuje pożywienia drobnemi gromadkami, mężczyzna jest tam głową rodziny, co nie przeszkadza, ażeby pochodzenie liczono w linii żeńskiej. Jest on właścicielem i panem żony lub żon, które wypożycza nawet, oraz rozporządza bezwzględnie losami potomstwa. Takie stanowisko mężczyzny, przypominające charakterem swoim rodzinę patryarchalną, wypływa z tego, iż on to zarobkiem swoim utrzymuje żonę i potomstwo, bo kobieta w tym okresie nie może iść w zawody z mężczyzną co do umiejętności wyzyskiwania ówczesnych źródeł pokarmu. Natomiast u ludów, należących do stanu wyższego myśliwstwa, mianowicie u trudniących się rybołówstwem mieszkańców zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej, władza mężczyzny jest nie tak nieograniczoną, co znowu trzeba tłomaczyć względami gospodarczymi.

Ludy pasterskie mają tylko ojca. Mężczyzna jest tam panem bezwzględnym — życia i śmierci. Żona, lub raczej żony, bo wielożeństwo stanowi tam zjawisko powszechne, stała się niewolnicą swego małżonka, który kupuje ją u jej rodziców. Taka potęga płci męzkiej tkwi w tym fakcie, iż trzody należą do mężczyzn, którzy niekiedy nie pozwalają kobiecie nawet dotknąć się bydła. Rodzina czerpie całe utrzymanie swoje z tego, czem zajmuje się ojciec. Kobieta tylko przygotowywa pokarm z zarobków męża. Rodzina posiada charakter patryarchalny, pochodzenie z małymi wyjątkami liczy się w linii męzkiej.

Zupełnie inny obraz przedstawi się oczom naszym, gdy będziemy rozpatrywali byt ludów ze stanu niższego rolnictwa, np. czerwonoskórych Ameryki Północnej lub Malajów. Pojedyncze stadło małżeńskie żyje pospołu z innemi w olbrzymiej zadrudze, rządzącej się zasadami komunistycznemi. W takiem domostwie zbiorowem rej wiodą kobiety. Wynika to z ich przewagi gospodarczej. Rolnictwo w okresie pierwotnym stanowi niemal wyłącznie zajęcie płci żeńskiej i prawdopodobnie przez nią zostało odkryte. Kobiety dostarczają utrzymania dla rodziny, zarobek zaś mężczyzny odgrywa rolę podrzędną, ono więc panują w domu i mąż często musi przenosić się do chaty teściowej. Władza niewiast rozciąga się niekiedy i na życie publiczne, przyczem organizacya społeczna polega na rodach, prowadzących genealogię swoją w linii żeńskiej. Hegemonia kobiet ustaje wśród tych plemion, w których mężczyzna zaczyna systematycznie trudnić się rolnictwem, aż wreszcie w okresie wyższym ustępuje ona miejsca władzy patryarchalnej, do których wzorów dostarcza familia rzymska.

Taki jest zasadniczy wątek wywodów Grossego. Zaznaczając taką zależność pomiędzy rodziną a źródłami zarobkowania, wygłosił on myśl, którą rozwinęliśmy przed kilku laty. Atoli na stwierdzeniu owego związku kończy się nasze powinowactwo. Grosse nie zajmuje się stosunkiem wzajemnym kolejnych sposobów zarobku. Gdyby to zrobił, uznałby, że myśliwstwo jest już mocno zróżniczkowano, że w jednem miejscu polega ono na polowaniu na zwierzynę, w innem za było zbieraniem warzyw i korzeni a odpowiednio do tego przeszło w pasterstwo lub pozostało myśliwstwem, albo wreszcie dało początek rolnictwu. W końcu pasterski tryb życia także doprowadził do rolnictwa. Ród ludzki żył pierwotnie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w okolicy, obfitującej w pokarm roślinny, niezależniający kobietę. Tam to powstało liczenie rodowodów w linii żeńskiej pod wpływem czynników, w których rozbiór nie będziemy tutaj się wdawali. Niektóre szczepy z tego stanu przeszły do rolnictwa i rozwinęły w całej pełni macierzystą więź społeczną. Inne, znalazłszy się w miejscowościach, w których polowanie na zwierzynę stało się głównem źródłem utrzymania, poniekąd przeszły w ustrój ojcowski, ten zaś ostatecznie zapanował, gdy oswojono zwierzęta i zaczęto trudnić się pasterstwem.

L. K.



LITERATURA I SZTUKA.

ADAM ASNYK

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

I.

dgłos wieści żałobnej z pod Wawelu, oznaczony datą 2 sierpnia, zasmucił wykształceńszą część naszego społeczeństwa i wywołał jednomyślne zeznanie, że „*wielki* poeta“ odszedł „w cień, z duchami.“ Łącząc się z tym chórem, zapytujemy samych siebie: co El..emu zjednało pośród różnorodnej rzeszy piszących — rzadko nadawany tytuł „wielkiego?“ Naprózno w pozostawionej puściźnie szukalibyśmy nietylko okazałego rozmiarem dzieła, ale drobnostki, któraby powszechny w swoim czasie u ogółu zyskała poklask. Możemy nawet powiedzieć, że tak przeszedł, „jako błyskawica,“ — olśnił, niezrozumiany... Najwymowniej o tem świadczy sąd znakomitego krytyka, Piotra Chmielowskiego, skreślony niegdyś w *Zarysie literatury polskiej*: „Asnyk jest wirtuozem formy... i wirtuozem myśli. Tyle mając przed sobą wzorów, tyle przepysznych dzieł sztuki, tyle genialnych pomysłów w różnych rodzajach, przyswoił sobie cokolwiek z treści wszelkiej, przejął się wszelkiemi możliwemi uczuciami: jest rzewnym i tkliwym, jak rozmarzona i pieszczona kobieta; jest męzkim i energicznym, jak śpiew Tyrteusza; jest naiwnym, jak niedoświadczona dziewczyna z prowincyi; jest wzniosłym, jak pomysł tragiczny; jeśli zechce (?), może być bluźnierczym, jak Heine, może być wierzącym, jak Tomasz z Kempen; może patrzeć trzeźwo na rzeczy, jak naturalista; może marzyć, jak Słowacki... *Tak, jest on wszystkiem potrochu, po kawałku... i to stanowi jego indywidualność; jednolitości wszim nie szukać, jakiejś myśli stałej, którejby służył wiernie, daremnie się domagać, bo niema wiary... może nawet we własne przekonania...* Jestem prawdziwym wielbicielem talentu Asnyka, i dlatego lubuję się lirykami jego tylko pojedyńczo, zosobna branemi: *wszystkie prawie są piękne, ale każdą z nich niemal trzeba czytać w innem usposobieniu ducha.*“ O ile przytoczone słowa można uważać za wyraz opinii narodowej, o tyle Asnyk zawdzięcza epitet „wielkiego poety“ swemu proteuszowemu charakterowi, owej mieniącej się jakoby ustawicznie w jego pismach, kaskadzie myśli i form, której początku, kierunku i celu dociedzić trudno. Choć muszę przyznać, że ten instynkt ogółu w ostatecznym wyniku nie jest mylny, ale bez wahania protestuję przeciwko zdaniu mistrza, według którego El...y ma wartość błyskotliwego zlepka przeróżnych „kawałków...“ Duch Adama Asnyka, odbity w poezyi, to — dla mnie przynajmniej — postać tak niemal prosta i jednolita, jak zgasłe już dzisiaj, a zachowane w podobiznach rysunkowych, oblicze jego fizyczne. Nie dopatruję zgoła w zmarłym wieszczu żadnej konsekwencyi żelaznej,—którą śmiało można poczytywać za mrzonkę śród świata żywych a zdrowych ludzi; owszem, rozmaitość barw i nastrojów była charakterystycznem pióra jego znamieniem; czytając wszakże to, co napisał, czujemy stale, niby mityczny Anteusz, macierzystą ziemię pod stopami, i widzimy nad sobą—kiedyniekiedy chmurami przesłaniane, lecz zawsze piękne a niezmylne, słońce idei przewodniej.

Urodził się w Kaliszu 11 września roku 1838. Nauki elementarne i gimnazyalne pobierał w mieście ojczystem. Wcześnie porzucił to gniazdo, aby go już nigdy nie ujrzeć; ale duchem często się ku niemu zwracał. Tętno wspomnień dziecinnych głębokim a uroczo-rzewnym odgłosem bije w jego pieśniach. Dwa pierwsze tomy *Poezyi* „Rodzicom swoim poświęca.“ Znajdujemy tu między innemi popularne już dzisiaj *Echo kołyski* — pełną prawdy psychicznej, melodyę elegijną, gdzie matka, tuląc do piersi swe chłopię, pragnie je miłością i wiarą wobec przyszłych zawodów uzbroić:

„Na matkę wspomnij swą,
Na miłość, co bez plam;
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą...
Wierz w piękność ducha słoneczną,
I w miłość, która jest wieczną —
Na matkę wspomnij swą.“

Jest tu jeszcze inny poemacik, rzucający jasne promienie światła na dane ognisko uczuć — *Rodzinnemu miastu*. Zdaje się, że autor pisał go wkrótce po jakiemś wielkiem wstrząśnieniu moralnem, śród złudnego przewidywania blizkiej śmierci:

„Jest jedno piękne ludowe podanie,
Co treścią swoją do łez mnie porusza:
Lud prosty mniema, że gdy czas nastanie,
W którym już ciało ma opuścić dusza,
Zanim w nadziemskim utonie błękicie,
Powraca jeszcze wstecz przez swoje życie.“

Poeta tedy, w mniemanym przededniu zgonu, mknie myślą gorącą do swej kolebki życiowej, budzi przygasłe wspomnienia, wyraża nie dającą się ziścić żądzę odwiedzin i śle serdeczne pozdrowienie Kaliszanom. Dźwięczy tu szczególniej wymownie, właściwa naszemu wieszczowi, a gwałtem gdzieindziej rozumowaniami filozoficznemi zagłuszana, struna żalu za minioną przeszłością:

„Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady:
Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając: co to za przychodzień blady?
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne.“

„Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,
Już w niem nie siedzi ﬁglarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzymsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szydersko...“

Opuściwszy gród ojczysty, Asnyk wstąpił do założonej r. 1857 Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie. Potem swe studya lekarskie kontynuował we Wrocławiu; przerwała je wszakże niebawem krwawa zawierucha. Po katastrofie bolesnej młodzieniec pożegnał kraj i zawiązał na nowo nić przerwanych nauk uniwersyteckich, ale na inne już przeniósł się pole: wyjechał do Heidelberga, i tu w r. 1866 otrzymał stopień doktora filozofii. Studya zagraniczne Asnyka przypadły na lata, które zarówno w życiu narodu, jak i czulszych jego jednostek były ciężkiemi chwilami przełomu. Wówczas-to odezwała się po raz pierwszy harfa młodego pieśniarza — Jana Stożka, później El...ego, wichrami społecznymi silnie trącana. W r. 1865 wyszedł z pod jego pióra *Sen grobów* — poemat, według Piotra Chmielowskiego, „niejasny, na wzór mesyanicznych utworów Słowackiego, napisany.“ Aby ocenić gruntownie tę, z 257 tercyn złożoną, głęboką fantazyę elegijną, potrzeba, jak sądzę, zwrócić uwagę: 1) na charakter epoki, 2) na węzeł serdeczny, łączący wykolejonego zapaleńca z całością zbiorową, 3) na stosunek zależności duchowej Asnyka od Słowackiego, Krasinskiego, a głównie od Danta, którego 600-letni jubileusz narodzin wtedy właśnie obchodzono. Naśladując mistrza włoskiego w zasadniczym pomyśle i ustroju wierszowym, poeta nie traci z oczu i rodzimych wzorów; pomimo to jest samym sobą, i tak *jasnym*, jak tylko jasnym być można w podobnych warunkach twórczości. Harmonii wewnętrznej pieśniarz tu sobie jeszcze nie zdobył; choć w *Epilogu*, nawskróś refleksyjnym, spostrzegamy już ziarno owej syntezy, która później znalazła wymowny swój wyraz w trzydziestu sonetach, *Nad głębiami*.

Komu *Sen grobów*, odrębnie traktowany, wydaje się niejasnym, ten łatwo śród zbioru (szczególniej w tomie IV) natrafi na wykładnik jego treści; każda bowiem odrośl idei przewodniej u Asnyka promienieje trwale pod rożnymi kształtami w całym szeregu pieśni. Nie trudno bez wątpienia w utworach El...ego dosłyszeć tonu, co jakby z obcych sfer przypłynął; ale są to rozdźwięki bardzo naturalne: wynikają one bądź z temperamentu poety, który był niegdyś „dzieckiem swawolnem,“ bądź z rozterki wewnętrznej ducha, usiłującego trumnę epoki ubiegłej przerobić na kolebkę przyszłej. Do takich np. należy ognisty, demoniczny anakreontyk p. n. *Pijąc Falerno:*

„Com kochał, razem z miłością
Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną.“
„Jeśli to miłość dziewczyny;
Więc, by ukarać niewierną,
Usiadłem na łonie Fryny,
Pijąc Falerno.“

„Życie nad śmiercią przeważa;
Bo taka istnienia kolej:
Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi dolej!“

Jeśli wierszyki, opiewające miłość i wino, mają oddawna zapewnioną racyę bytu i nie przeszkadzają dojrzeć harmonii umysłowej u takich, jak Jan z Czarnolasu lub Wespazyan Kochowski, rymotwórców starej daty, to któżby poetom najnowszych czasów, synom wieku nerwowego, zarzucał niekonsekwencyę, gdy rozdarci w sobie, wnoszą czasem dziwny toast, a śmiechowi ich wtoruje krew, bijąca do oczu.

Bardziej wyjątkową, na pozór jedyną w swoim rodzaju, ale zrozumiałą i dającą się wraz z innemi do wspólnego sprowadzić mianownika, jest apostrofa, ogólnikowem *Do*... zatytułowana. Oto jej początek:

„Przekleństwa synu, co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie!—w uściśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę...“

Dopatrzeć-by tu można pewnej zależności od Baudelaire'a, romantyka, stojącego na progu dekadentyzmu; skreślona jednak przez poetę francuskiego sześciowierszowa *Modlitwa do Szatana:*

„Gloire et louange a toi, Satan, dans la chauteur
Du ciel, où tu régnas, et dans la profondeur
De l'enfer, où vaincu tu reves en silece...“

stanowi prostą, pełną spokoju klasycznego, apostrofę do geniusza wiedzy; podczas gdy z pięciu oktaw złożony, utwór Adama Asnyka, oparty na tym samym kulcie tytanizmu Prometeuszowego, wybucha ogniście, niby klątwa pieśniarza, któremu „jasne niebo z piersi uciekło.“

A. G. Bem

GENIUSZ I TALENT.

Cielęta, spoglądając na człowieka, na pewno posądzają go o manię wielkości. Toż samo człowiek, spoglądając na geniusza. Ale któż się liczy z cielętami? Główną wadą zaściankowej i pokątnej pseudo nauki jest to, iż wyobraża sobie rzeczywistość jako coś trwałego i niezmiennego. Otóż świat nie jest, lecz się staje — jak znakomicie powiadają Niemcy — on wciąż się zmienia, widnokręgi bytu coraz bardziej się rozszerzają wraz z pojawieniem się nowych, coraz wyższych gatunków biologicznych. Rozwój wielkich pomysłów w ludzkości, tego, co my nazywamy *poezyą*, zależy właśnie od tego postępu antropologicznego i dlatego one rozrzucone są bez wszelkiego prawie porządku po przez cały ciąg dziejów, z punktu widzenia ewolucyi społecznej *). Podawaliśmy już przykłady: przy dość pierwotnym ustroju społecznym, opartym na niewolnictwie, Grecya dała nam źródła wszystkiego, czem dotychczas żyjemy. W jej filozofii znajdujemy nawet zarodki teoryi ewolucyi powszechnej, tej chluby naszego wieku. Zauważmy, iż w Biblii mamy przeczucie teoryi dziedziczności, w przypowieści indyjskiej o pochodzeniu kast — przeczucie teoryi organizmu społecznego itd. Wszystko to, wypowiedziano w sposób często błahy, żartobliwy i dlatego nie przypisujemy wagi, zapominając, iż tylko dzięki tym genialnym impulsom pobudzona myśl społeczeństw mogła pracować nad naukowem sprawdzeniem tych prawd. Weźmy wreszcie poetów Odrodzenia, jak Dante— u którego znajdujemy przeczucie praw powszechnego ciążenia — jak Leonardo da Vinci: jego znaczenie dla nauki zaczyna dopiero być dokładnie oceniane, weźmy poetów późniejszych, jak Goethe, a zrozumiemy, iż wszędzie i zawsze poezya wyprzedza wiedzę i jest przedewszystkiem zjawiskiem antropologicznem.

Mówiąc to, nie chcemy zresztą bynajmniej zmniejszyć doniosłości czynnika społecznego. Oczywista rzecz, że jeżeli pewna suma jednostek, chociażby najniższej rasy, żyje razem i dzieli pomiędzy sobą pracę, natychmiast wytwarza się pewna świadomość, myśl, logika i przystosowania wspólne, zwane wynalazkami. Ta kultura może nawet postępować, ale tylko do pewnego stopnia. Dany rozwój mózgowy stanowi granicę ścisłą, po za którą świadomość rasy wyjść nie może. Inaczej należałoby przypuścić, iż mrówki, które mają historyę daleko starszą od naszej, poczyniły wszystkie odkrycia człowieka w dziedzinie myśli. Żeby dana grupa mogła rozszerzyć horyzonty bytu po za wskazane granice, trzeba, aby śród niej zjawiła się jednostka gatunku wyższego, która: 1) może odkrywać prawdy zupełnie nowe, niezależne od wązkich ramek rozwoju tej grupy: tak człowiek widzi inne strony w rzeczach, niż ślimak i 2) może syntetyzować szczegóły zebrane przez daną grupę drogą podziału pracy i których sama ona już skupić nie była w stanie. Najcharakterystyczniejszym rysem genialnej intuicyi jest właśnie synteza. Geniusz w poezyi jest ciągłą syntezą, ale nie inaczej też postępuje geniusz w nauce. Weźmy dla przykładu Lagrange'a: gdy mechanika przed nim postępowała w ten sposób, iż przechodziła od zjawisk prostych do coraz bardziej złożonych, on natomiast wychodzi z zasady najogólniejszej, obejmującej całość zjawisk i stąd przechodzi do coraz mniej złożonych, żeby dojść do najprostszych. Zauważymy mimochodem, iż w Lagrange'u znajdujemy jeden z najdoskonalszych okazów geniusza z jego intuicyą i wszechstronnością (obok matematyki zajmował się filozofią, naukami przyrodniczemi, poezyą, muzyką itd.).

Dość już wyraźnie, zdaje się, zaznaczyliśmy, iż w geniuszu nie widzimy nic nadnaturalnego, a jednak przypisujemy mu w losach ludzkości wagę nie mniejszą, niż społeczeństwu. Jest to jednostka o nadzwyczaj skoncentrowanej i spotęgowanej energii — wszak głębokość myśli wyraża tylko energię naszego panowania nad światem—jednostka, która w danej chwili może mieć większe znaczenie, niż olbrzymia wielomilionowa gromada ludzi. Tak garść materyałów palnych wysadza w powietrze górę całą. Gdyby światu dano do wyboru Goethego lub kilka milionów z tych bürgerów cnotliwych, co to się obżerają, piją i zaśmiecają ziemię bezmyślnem swem potomstwem, chyba dzikie tylko, przedpotopowe przesądy mogłyby go powstrzymać w wyborze. Bo co bürgerzy po sobie zostawili? Przeciw egoizmowi geniusza nie nawet mieć nie wolno, gdyż każdy przejaw jego osobowości opłaca się światu stukrotnie: tak to, co było dla autora „Fausta“ przedmiotem przelotnego tylko użycia, dostarczyło następnie miliardom osób niewysłowionych rozkoszy i dostarczać będzie bez końca, póki ostatni mózg będzie wrażliwy na tragedyę myśli. Geniusz nie może być zbyt wielkim egoistą, gdyż każdy jego czyn zamienia się natychmiast na ocean piękna. Wszystko, czego on się dotyka, zamienia się, jak pod zaklęciem różczki czarodziejskiej, na źródło złotych snów i boskich czarów dla pokoleń całych.

Powiadają zwykle, iż Goethe czerpał z otoczenia materyały do „Fausta.“ Zgoda, ale każdy rzeźbiarz czerpie też z otoczenia glinę do posągu: śmiesznem jednak byłoby upatrywać w tej glinie istotę i źródło jedyne posągu.

Żeby pokazać nieznaczność geniusza wobec społeczeństwa, niektórzy każą wyobrazić sobie Goethego po za cywilizacyą. Czyżby on w takich warunkach cokolwiek zrobił? Otóż wyobrażam go sobie doskonale w czasach pierwotnych otoczonego drobną grupą żon i dzieci: byłby wynalazcą ognia, łuku, topora, słowa, mitologii, pokrywałby kości zabitych wrogów ich doskonałymi wizerunkami i scenami walk, które toczył, gdy jak huragan wpadał do sąsiednich stad ludzkich, żeby pochwycić nad niemi władzę. Są to wszystko utwory, które wielkością bynajmniej „Faustowi“ nie ustępują.

Na to słyszę w odpowiedzi, iż ogień np. mógł być wynaleziony tylko drogą powolnych prób i przystosowań grupy całej. W takim razie proszę mi powiedzieć, czemu małpy, żyjące stadem i mające nieraz kulturę wysoko posuniętą, tego od-

*) Porown. „Jeszcze o poezyi,“ *Prawda* z r. b.

krycia nie uczyniły, a człowiek uczynił? Oczywista rzecz, iż próby i przystosowania nie każdej grupy społecznej mogą dać w rezultacie wszelki wynalazek, iż obok rozwoju społecznego potrzebny jest postęp rasowy. To rasa w osobie najwyższego swego szczytu, geniusza, zdolną się staje do skombinowania wszystkich względów i stosunków, które wydają, jako owoc — wynalazek. Dlatego, że nie znamy po imieniu geniuszów pierwotnej ludzkości, wyobrażamy sobie, iż tam odkrycia czyniły nie jednostki, lecz grupy. Dziwna logika!

Nie chcemy zmniejszać znaczenia ani tłumu, ani geniusza: są to dwa czynniki rozwoju, które mogą iść samopas, krzyżować się — wówczas mamy szczątkowy lecz rzadki wypadek, iż geniusz jest wyrazicielem społeczeństwa — częściej iść w kierunkach sprzecznych, tamując się wzajemnie, albo też wyprzedzać się na tysiące lat: często dopiero w oddalonem potomstwie myśl geniusza, do której dane społeczeństwo było *niedojrzałem*, może wydać swe owoce. Tak np. myśl o elektryczności, która powstała w Grecyi — jej autora znowu nie znamy! — i w naszych czasach dopiero znalazła należytą uprawę; to samo myśli o dziedziczności, zawarte w Biblii itd. Ale nawet w szczęśliwych wypadkach, gdy geniusz jest wyrazicielem prądów w społeczeństwie dojrzałych, nie można powiedzieć, żeby prądy to były *przyczyną* wynalazku. Aby zjawisko palenia mogło mieć miejsce, trzeba obecności tlenu i węgla. Gdy się stykają, odbywa się palenie, ale żadne z nich nia jest jego *przyczyną*. W naszych „szczęśliwych wypadkach“ trzeba zetknięcia pewnych prądów społecznych z pewnym mózgiem genialnym, żeby wynalazek został dokonany. Jeżeli zetknięcia niema — dla braku jednego z czynników: geniusza — setki lat ubiegną, a wynalazku niema.

Po wszystkiem, cośmy o geniuszu dotychczas powiedzieli, to wyjaśnienia starczą. Zobaczmy obecnie, jak ta siła wszechstronności i intuicyi zamienia się, pod wpływem społecznym, na talenty.

Piękno towarzyszy najwyższemu spotęgowaniu energii danej rasy *). W naturalnej walce o byt tylko jednostki piękne rozmnażały się, wydając rasy coraz wyższe. Harmonia linij ciała tych jednostek i ich ruchów odpowiadałaby harmonijna wizya świata. Społeczeństwo swą obecnością nie pozwala im wydać rasy wyższej, zamienia ich siłę życiową na formy idealne, z których samo korzystać będzie. Nie dość tego, ono w swej żarłoczności dzieli między swych członków nawet ciała tych jednostek. Odbywa się to drogą krzyżowania bezładnego. Spojrzcie na psy, biegnące po ulicach. Często zobaczyć można dysharmonię między łbem i ciałem, które oczywiście należą do dwu ras różnych. Tak samo, jeżeli łączyć będziecie dobrego ogiera z lichemi klaczami, otrzymacie potomstwo liche, ale na niem cząstkami rozmieszczone będą cechy ojca: jeden ze źrebaków otrzyma jego oko, drugi—ucho, trzeci — nogi, czwarty — grzywę itd.; pod innymi natomiast względami będą liche, jak klacze, które je zrodziły.

Zupełnie to samo dzieje się z tym doskonałym i wszechstronnym rasowcem-geniuszem, w społeczeństwie, pod wpływem krzyżowania bezładnego: jeden z jego potomków otrzymuje odeń tylko rękę, drugi nogę, trzeci oczy, czwarty uszy, piąty przednie zrazy mozgu, szósty móżdżek itd. W ten sposób geniusz zamienia się na oczka tłuszczu, które służą dla okrasy tej naszej zupy demokratycznej. Tak powstają mniejsze i większe talenty.

Jedynem, pierwotnem źródłem piękna, to dobór płciowy, dobór wytwornych rasowców, mających harmonijną wizyę świata **). Krzyżowanie bezładne, rozmieszczając różne części takiego rasowca na istotach niższych i brzydkich, wytwarza tę mieszaninę miernoty z przebłyskami piękna, która stanowi zwykłą szarą rzeczywistość każdego z nas. Gdyż świat jest tylko tem, czem sami jesteśmy. Jeżeli radość życia zanika, a miejsce jej zajmuje nuda i szarzyzna, to tylko dowód, iż rasy wyższe o podniosłom, wolnem czole znikają, a na scenę występują niższe, tchórzliwsze, zabarwiające świat cały kolorem swej żółci i zawiści. Ta pochmurna galareta połyskuje tylko gdzieniegdzie promieniami piękna, wytwarzanymi przez części fizyologiczne geniusza — zwłaszcza mózgu i zmysłów — które w masie się zachowały, rozproszone krzyżowaniem bezładnem.

W reszcie podział pracy, rozwój społeczny, rozpina te stany duchowe piękna na stosunkach i zjawiskach, które nie mają już nic wspólnego z pierwotnym celem i źródłem piękna. Ono w ten sposób coraz bardziej się subtylizuje i abstrahuje, pozostając jednak co do istoty swej niezmiennem. Estetyka istoty tej z dziecinną wstydliwością boi się poruszyć i dlatego buja śród chimer, czepiając się, jako punktu oparcia, najbardziej złożonych wytworów piękna, już tak wysubtylizowanych przez ewolucyę społeczną, iż, wydaje się, niema w nich ani cienia popędu rozrodczego, chociażby najwyższych biologicznie jednostek. I dlatego estetyka musiała wpaść w tysiące określeń piękna, które są pustymi dźwiękami. Oto kilka przykładów:

Piękno jest to blask prawdy!
Idea w formie symbolicznej.
Doskonałość pojęta w sposób niewyraźny.
Rzeczywistość wyzwolona z nieregularnego i przypadkowego.
Połączenie dwu zasad bytu: idei i formy.
Strona najbardziej wyrazista rzeczy.
Strona indywidualna i charakterystyczna.
Człowiek dodany do natury.
Natura widziana przez osobowość.
Kropla w oceanie Boga.
Przygotowanie do moralności itd.

Na wołowej skórze nie spisaćby wszystkich. Wiele dowcipu stracono na wypowiedzenie tych określeń. Każde z nich zawiera cząstkę prawdy, ale jest nader ciasne i oparte na objawach powierzchownych. Zdaniem naszem, piękno musi wciąż być brane w związku z innemi formami idealizmu, te ostatnie zaś w związku z wszystkimi procesami fizyologicznymi, zwłaszcza zaś rozrodczym, gdyż ten jedynie związany jest z najbardziej odległą przyszłością.

Jak promień światła białego, przechodząc przez pryzmę, rozkłada się na wszystkie barwy widma świetlnego, tak energia biologiczna rozkłada się pod ciśnieniem społecznem i dzięki krzyżowaniu bezładnemu stopniowo na moralność, piękno, mistycyzm i każdy z tych objawów, dzięki warunkom społecznym i antropologicznym, przybiera nareszcie to niesłychane bogactwo form, szkół i stylów, które nam historya przedstawia.

Tak pojęty proces wytwarzania piękna pokazuje, iż wszelkie określenia stają się ciasne i niemożliwe, gdyż nikt nie zdoła uwięzić oceanu żadnymi sznurami. Dodajmy wreszcie, iż proces ten musi być pojęty w sposób rozwojowy, w związku z dążeniem natury do wydawania gatunków coraz wyższych. Nie należy także spuszczać z oka różnicy między rasą a geniuszem, o której pomówimy osobno.

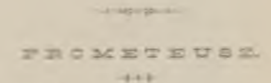
Geniusz pierwotny, jako przedstawiciel wyższego gatunku, jest to wszechstronnie rozwinięty rozpłodowiec, mający mozg i wszystkie narządy doskonale zbudowane i od tego zależy głębokość i piękno jego myśli. Z czasem dzięki krzyżowaniu bezładnemu on rozprasza się na części i każda część staje się właściwością jakiejś jednostki, nieraz z gminu: jedna z nich będzie malarzem (otrzymawszy oko geniusza), druga muzykantem, trzecia poetą itd. Wszelki wogóle talent jednostronny—o ile nie jest skutkiem zwykłej wprawy — jest szczątkiem geniusza, który się rozszczepił i przyjął częściowo na lada jakim pniu. Stąd pochodzi tak częsta ograniczoność umysłowa ludzi talentu. Tak często podziwiamy drobną rękę lub nogę u osób oczywiście pospolitych. Różnice te utwierdzono zostają przez społeczny podział pracy. Teraz zrozumieć możemy, czemu pociąg płciowy u jednych zamienia się na obrazy, u drugich na dźwięki, u trzecich na słowa: zależy to od specyalnych narządów, które dany talent otrzymał w dziedzictwie od przodka-geniusza. Dla analogicznego powodu pociąg płciowy u jednych zamienia się na moralność, u drugich na piękno, u trzecich — na mistycyzm. Rozwój tych form idealizmu już w ludzkości pierwotnej wyprzedzony był przez krzyżowanie bezładne.

Dr. L. Winarski.

---

*) Porówn. „Ideał i piękno,“ *Prawda* z r. b.

**) Myśl jest tylko przystosowaniem naszej istoty do warunków świata zewnętrznego: wytworności istoty i ruchów odpowiada wytworność myśli, piękno wewnętrzne.



Ramię prawe wyprężył i w wysoko wzniesionej dłoni ścisnął płomień, który przed chwilą porwał gromowładnemu ojcu bogów i ludzi, o świetlo zazdrosnemu chmurozbiorcy... I oto zwycięzki z wyżyn Olimpu w niziny mknie... Lewą stopą ledwie ziemi dotyka, prawą w biegu lekko w tył odrzucił i ramieniem lewem posąg zagadkowy objął: kobieta w szatach powłóczystych, z przepaską na oczach, rękoma złożonemi na piersi, z dolnymi kształtami ginącymi w nieforemnym głazie spiżowym.. Głowę do góry podniósł, wzrok w niebo skierował, a czoło mu bruzda bólu i smutku przecina i bólem i smutkiem zaciśnięte tchną usta...

Oto treść najnowszego dzieła Piusa Welońskiego. Artysta przedstawił Prometeusza w chwili, gdy wraca z światłem na ziemię: temat to, o ile wdzięczny, o tyle bardzo trudny. Bo przypomnijmy sobie tę całą masę dzieł sztuki i poezyi, poświęconych owemu buntowniczemu duchowi światła, a łatwo pojmiemy, jak wiele talentu posiadać musi artysta, który postać taką w spiż lub marmur przekuć pragnie.

Tytan Prometeusz iskrę Zeusowi ukradł i ludziom zaniósł, a bóg gromowładny za to go do skał Kaukazu przykuł i sępom szarpać kazał wątrobę, która codzień odrastała. I długo cierpiał męczennik dopóki zeń kajdan nie zdjął Herkules. Oto legenda grecka w jej najprostszej, dziecinnej osnowie. Minęły wieki, słabe tylko ruiny ze starożytnej Hellady przetrwały, a duch Prometeja z legendy w życie przeszedł i odtąd się po duszach samotnych błąka. Z dusz takich czasem na świat wychodzi i ludziom przypomina, że żyje wiecznie. I oto rodzi się Prometeusz z natchnienia Shelleya lub w spiż się wylewa pod dłonią Welońskiego.

Jego Prometeusz jest nietylko dziełem wielkiego talentu, lecz i poważnej myśli: wzrusza i zadumę budzi. Bo też i pojął go artysta oryginalnie i w sposób nawskroś nowożytny. Tytan z legendy greckiej, gdy na ziemię ze światłem powracał, miał

na ustach uśmiech tryumfu i zwycięztwa: on, bohater tylko, boga bogów zwyciężył i stal się duchem dobroczynnym ludzkości. Więc mu pierś rozsadzać musiała duma boska, a serce cieszyła radość. Nie takim jest on w rzeźbie Welońskiego: tu mu czoło pofałdował ból, usta ścisnęło cierpienie. I ta zmarszczka na czole, oraz zaciśnięte usta czynią go właśnie głęboko oryginalnym i bardzo nam bliskim. To Prometeusz nowożytny, Prometeusz „weltschmerzu"; jego samego już parzy ten ogień, który w mroku błądzącym niesie. Jego już dręczy pytanie: zali światło to zdoła rozproszyć ciemność grubą samolubstwa i głupoty? Zali przy ogniu tym, który z nieba poniósł, rozgrzeje się choć jeden ziębnięty duch ludzki? Zali ta iskra boska choć w jednej duszy rozpali jasny płomień miłości wszechludzkiej? I czy warto było siebie narażać na zemstę straszliwą niebios dla czczej mary? Czyż ludzie, jak dzieci bezrozumne, nie cisną tym ogniem w niego samego, gdy sobie o płomień tylko dłonie poparzą, chwyciwszy go nieostrożnie? I być może w tej chwili wahania wróciłby tam na szczyty Olimpu, aby iskrę bogom zwrócić, gdyby mu tej ciemnej ludzkości żal nie było, gdyby nie pragnienie wyprowadzenia tych kretów z nor ich na świat jasny, gdyby nie chęć zerwania tej przepaski, którą bóg zazdrosny jej na oczy zdrowe nałożył...

Takie dumania wywołuje ten nowy Prometeusz. W naszych czasach, gdy w sztuce obok impresyonistyczno-symbolistycznych dziwolągów panuje realizm, polegający na drobiazgowem, bezmyślnem i bezdusznem fotografowaniu skrawków natury, dzieło Welońskiego wyrasta jak jeden z rzadkich kwiatów, przypadkiem zbłąkanych wśród szarzyzny łąk, od słońca spalonych, jeden z tych kwiatów, do których z rozkoszą dąży znużony wzrok i spragniona myśl. Postać półboga nie zwraca na siebie uwagi potęgą swych kształtów, patrząc na niego, nie wierzymy, że to jeden z tych tytanów, którzy Ossę na Pelion kładli, by się do nieba dostać. Lecz natomiast z ciała tego wieje potężny duch, a na czole świeci myśl. Wiemy, jak Weloński ciało męzkie modelować potrafi; pamiętamy przecież dobrze jego wspaniałego „Gladyatora"; i tym więc razem stworzył on piękną, choć realistycznie traktowaną postać. Mówię: realistycznie, gdyż jego Prometeusz nie posiada tej idealnej miękkości kształtów i tej jakiejś okrągłości linij, dzięki którym taki np. Apollo Belwederski czyni na niektórych wrażenie hermafrodyty. Przeciwnie, ta podniesiona szybkim oddechem pierś jest twardą, silnie napięte muskuły ramion i nóg odrzynają się z anatomiczną niemal dokładnością. Możeby jakiś surowy krytyk, raczej anatom niż estetą, wyszukał jakieś błędy czysto-techniczne, lecz cóż mogą znaczyć te drobne usterki wobec ogólnej harmonii układu i prawdziwej wartości dzieła?

Gdy patrzę na takie płody twórczości artystycznej, jak „Prometeusz" Welońskiego, często zadaję sobie pytanie: jaki los je spotka; czy są one skazane na wieczne pozostanie w pracowni twórcy, czy na długoletnie błąkanie się po rozmaitych kątach salonów Towarzystwa zachęty, jak np. „Ave Caesar" tegoż artysty lub „Śmierć Barbary" Lessera, czy też, być może, zlituje się nad nim jakiś handlarz, który go w obce strony wywiezie? I smutno mi się wówczas robi, gdy pomyślę, ile to się u nas w ten sposób dzieł sztuki marnuje, gdy sobie pomyślę, że istnieje u nas jakaś galerya obrazów po b. szkole sztuk pięknych, którą nam czasem na cel dobroczynny pokazują, że istnieją jakieś zbiory Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, kryjące się na poddaszach i w piwnicach itd. I wtedy tylko z westchnieniem zapytuję siebie: czy się doczekamy kiedykolwiek takiego chociażby muzeum narodowego sztuk pięknych, jakie posiadają nawet najbiedniejsze miasta skandynawskie?

Michał Mutermilch.

W DALI.

Kowno Korespondent *Gazety Polskiej*, mówiąc o zubożeniu ludności włościańskiej w gubernii Kowieńskiej na dowód, że warunki materyalne chłopa żmudzkiego nie są pomyślne, przytacza fakt nieustającej emigracyi. Wychodźctwo, skierowane dawniej prawie wyłącznie do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, zwróciło się obecnie na południe Afryki do kraju Przylądkowego i do Kanady. Znaczna większość emigrantów nie wraca wcale w strony rodzinne, tylko przez pewien czas podtrzymuje stosunki z pozostałą rodziną za pośrednictwem korespondencyi. Ci, co zjawiają się ostatecznie w kraju, należą do szczęśliwców, którym się udało zebrać ciężką pracą pewien fundusik. Bywają jednak i tacy, którzy, doznawszy za oceanem niepowodzenia, powracają, aby borykać się do śmierci z nędzą w swojej wiosce. Powiaty nadgraniczne mają się lepiej, gdyż ludność tamtejsza znajduje łatwy i mały zarobek w sąsiednich Prusach. Dodajmy od siebie, że zniesienie opłaty paszportowej od włościan, udających się za granicę na letnie roboty, zwiększy niezawodnie emigracyę ludu ze wszystkich pogranicznych guberuij; nietylko południowo-zachodnich, ale i z Królestwa Polskiego. Ci, co mieli sposobność stykać się z powracającymi emigrantami, zapewniali nas, że pobyt w Prusach wywiera na naszego włościanina wpływ ujemny pod względem moralnym: zanik godności osobistej (skutek brutalnego obejścia Prusaków), lekceważenie swojskości, naleciałości językowe. Łączenie zaś emigrantów obojej płci, przeważnie w młodszym wieku będących, w większe partye, upośledza też moralność płciową. Chłop wracający z kilkudziesięcioma zarobionymi w Prusach rublami, próżnuje zwykle przez całą zimę. Przeciwnie, emigracya do Stanów, gdzie istnieją polskie korporacye, zmienia chłopa na dzielnego robotnika, przyzwyczajonego do pracy intenzywnej. W gub. Kaliskiej można spotkać bywalców, jeżdżących co rok do Ameryki na zarobki. Ludzi ci nietylko, iż nie są straceni dla swego społeczeństwa, lecz przeciwnie, stanowią bardzo pożądany nabytek. O zmniejszeniu emigracyi niepodobna myśleć, pożądaną jest przecie rzeczą skierować ją w te strony, gdzie przynosi ona minimum złego ze stanowiska ogólno-społecznego.

Suwałki. Bawiącemu tu Naczelnikowi kraju ziemianie okoliczni podali memoryał, w którym proszą: 1) o ostateczne ukończenie stosunków serwitutowych i o usunięcie szachownic; 2) o wyjednanie zmniejszenia zbyt uciążliwych podatków, nieodpowiadających ogólnemu stanowi ekonomicznemu rolnictwa, i o zniesienie podatków dodatkowych, mających charakter tymczasowy; 3) o współdziałanie, celem prędszego wprowadzenia w wykonanie prawa o radach rolniczych; 4) o reformę ustawy drogowej i o utrzymanie należyte dróg drugiego i trzeciego rzędu; 5) o surowe zastosowanie przepisów ustawy gminnej z r. 1864 i ustawy o reformie sądowej w Królestwie Polskiem z r. 1876, dotyczących wolności wyboru osób, stanowiących zarządy gminne i członków sądów gminnych; 6) o zastosowanie istniejących praw co do języka wykładowego i wykładu religii w szkołach początkowych; 7) o wykonanie przepisów ustawy o wykładzie języka polskiego w gimnazyach gub. Suwalskiej.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Na przedstawienie komitetu budowy pomnika Mickiewicza Naczelnik kraju polecił redakcyom bezwarunkowe przerwanie przyjmowania składek z tym celem. Po złożeniu tedy dodatkowo do kasy komitetu ofiar, wykazanych w poprzednich numerach *Prawdy*, dalszych przyjmować nie będziemy. A ponieważ otrzymaliśmy pocztą jeszcze kilka posyłek z zastrzeżeniem, ażeby w razie zamknięcia składek na pomnik dołączyć pieniądze do jakiegoś innego funduszu publicznego, mającego związek z jubileuszem Mickiewicza, żaden zaś fundusz tego rodzaju nie istnieje, prosimy przeto ofiarodawców o inne przeznaczenie nadesłanych nam pieniędzy.

Wiadomości społeczne. Wyszło nowe prawo o odpowiedzialności karnej nieletnich, podług której dzieci do lat 10 żadnym karom sądowym nie ulegają; od lat 10—17, jeżeli działają bez przeświadczenia o bezprawności popełnionego czynu, oddawani będą pod nadzór osób godnych zaufania, w wypadkach cięższych do kolonij poprawczych (Studzienca). Za występek, popełniony ze świadomością, ma grozić dzieciom od lat 10—14: kolonia poprawcza, specyalne więzienie dla nieletnich (od 1 m. do 5 lat). Dla wieku od 14—17 lat za przestępstwa, karane u dojrzałych ciężkiemi robotami; wieża od lat 3—12. W wieku od lat 17—21 kary najwyższe skracają się do połowy. Za pozostawienie nieletniego przestępcy bez dozoru opiekun ponosi, w razie nowego występku ze strony skazanego, areszt do 1 miesiąca, lubkarę do 100 rs.

— Adam Prus Wiśniewski, zmarły w Krakowie, zapisał swój majątek na cele humanitarne i społeczne. Między innemi na Wawel 10,000 złr., dla zakładu Józefitów 2,000, dla zakładu bractwa Alberta 2,000, dla zakładu ks. Siemiaszki 2,000, dla arcybractwa miłosierdzia 2,000, dla Tow. dobr. 2,000, dla Tow. oświaty ludowej 2,000, dla Tow. głodnych dzieci 2,000, na kolonie letnie 2,000, na oświatę w Cieszynie 1,000, na gimnazyum polskie w Cieszynie 2,000, Akademii umiejętności 3,000, na szkołę ludową w Białej 2,000, na przytulisko dla sług 1000. Egzekutorem testamentu nieboszczyk mianował Tomasza Schnitzla, naczelnika sądu delegowanego karnego.

Decentralizacya. Wskutek nawału roboty, na który już oddawna uskarżają się biura ministeryum spraw wewnętrznych, powzięto myśl nadania prowincyom prawa decyzyi w kwestyach miejscowych. W ten sposób ministeryum chce zapobiedz zbytecznemu przewlekaniu spraw, przedstawianych do jego uznania. Nowość to zewszechmiar pożądana, zwłaszcza dla miast, które odtąd będą mogły gospodarować, nie odsyłając, jak dotąd, każdej bagateli do Petersburga.

Syndykaty. Majstrowie piekarscy w Warszawie zawiązali syndykat; na mocy tej umowy cenę bułek ustanowiono na kopiejkę od sztuki. Ulegając żądaniom sztrejkujących pracowników, piekarze postarali się na tem zarobić, zamiast stracić. Ustępstwa ich sprowadzają się do rannego odpoczynku w niedzielę (do 5-ej po poł.) i nieznacznej podwyżki płacy (do 8 rs. tyg.) czeladnikom.

— Właściciele cegielni w okolicach Częstochowy utworzyli syndykat w celu „unormowania" ceny cegły, którą oznaczyli tak: za 1,000 sztuk zwyczajnej rs. 11,50, maszynowej rs. 13,50, prasowanej rs. 17 z dostawą. Do syndykatu nie przystąpił tylko p. Bogusławski z Zacisza.

— Grono piwowarów rosyjskich powzięło zamiar utworzenia syndykatu w celu „utrzymania cen piwa na jednym poziomie." Dotychczas około 80 właścicieli oświadczyło się z gotowością należenia do związku.

Szkoły. W szkołach fińskich z początkiem roku szkolnego wprowadzony zostaje nowy przedmiot — rozmowy w języku rosyjskim.

— Zaczęto przyjmować prośby w Instytucie technologicznym w Petersburgu. Na I kursie jest 123 miejsca wakujące; egzaminy konkursowe rozpoczną się 29 sierpnia.

— Do Instytutu medycznego dla kobiet będzie przyjętych nie 125, lecz 160 kandydatek (5% Żydów).

— Z d. 1 lipca r. b. powstaje w Odesie instytut technologiczny z wydziałami: chemiczno-technicznym, mechanicznym i budowniczym.

— P. Mansfeld otwiera w nadchodzącym roku szkolnym w Moskwie pięcioklasową szkołę korespondentów handlowych zagranicznych. Od wstępu-

jących są wymagane klasyfikacye z trzyklasowej szkoły miejskiej.

— Komisya rządowa ministeryum oświaty — podług *Syna Otiecz.* — opracowała projekt ustawy normalnej „Towarzystw opieki nad oświatą ludową." Projekt rozesłano do opinii władz.

Zdrowie publiczne. Prof. Kosiński złożył Naczelnikowi kraju projekt ustawy Towarzystwa hygienicznego.

— W Warszawie ma powstać druga szkoła dentystów z kliniką. Zarządzać nią będzie dr. Szpanbok; pozwolenie otrzymał dentysta L. Szymański.

Rolnictwo. Ministeryum rolnictwa — według *Now. Wr.* — opracowało projekt miejscowych organów rolniczych; udział brałyby w nich ziemstwa i Towarzystwa rolnicze, gdzie zaś niema ziemstw — rady rolnicze.

— W d. 31 lipca ministeryum skarbu zatwierdziło nowe przepisy o wydawaniu pożyczek na solaweksle rolnikom, jako też sposób zabezpieczania takich należności. Przepisy mają obowiązywać od 13 września r. b.

Ulga. Zarząd Towarzystwa ogrodniczego zawiadamia, że wydane zostało rozporządzenie departamentu dróg żelaznych o przyznaniu ulg przewozowych dla przedmiotów nadsyłanych na wystawę narzędzi ogrodniczych i przetworów owocowo-warzywnych, mającą się odbyć w Bagateli między 29 września a 7 października r. b. Ulga polega na tem, że wszelkie przedmioty, dostarczane na rzeczoną wystawę, mają zapewniony bezpłatny przewóz z powrotem o tyle, o ile: 1) będą zwrócone na stacyę drogi, skąd pierwotnie były wysłane, na co potrzeba zachować fracht przewozowy i 2) o ile będą zaopatrzone w świadectwa odpowiednie, przez komitet wystawy wydawane.

Zjazdy. W jesieni r. b. odbędzie się w Petersburgu zjazd przemysłowców naftowanych, dla ostatecznego wyjaśnienia sprawy nowego związku pomiędzy nimi (syndykatu?).

— Na kongres lekarski w Moskwie rada miejska wysyła dr. Watraszewskiego.

— Z inicyatywy astronomów rosyjskich ma się odbyć w Petersburgu międzynarodowy zjazd astronomiczny.

— W d. 22 sierpnia w Nowym Sączu odbędzie się kongres katolickich związków robotniczych.

Wypadki. Pod Ruszczukiem wyleciał w powietrze magazyn nabojów, w którym znajdowało się kilkuset robotników, przeważnie kobiet i dzieci, zajętych wydobywaniem prochu ze starych ładunków. Zabitych jest 60 osób, ranionych około 160. Przyczyną bezpośrednią katastrofy był pożar; lecz robotnicy nie mogli uciec w porę, gdyż w baraku były tylko jedne drzwi. Nieszczęśliwe ofiary, strasznie poparzone, musiano odwozić do szpitala, odległego o 4 wiorsty od miejsca wypadku, gdyż w Ruszczuku niema nawet ambulansu. Jest to jedna z największych katastrof, spowodowana wybuchem prochu.

— D. 2 sierpnia na nowej kolei Ostrołęcko-Pilawskiej pociąg roboczy, dążący z Wyszkowa do Tłuszcza, wykoleił się, wskutek czego siedem platform zgruchotanych a jeden robotnik raniony.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 1 Августа 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.